



POEZJE

II.

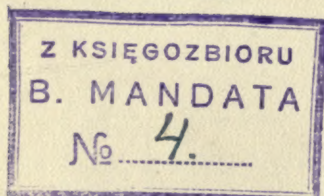
ODBITO W DRUKARNI NARODOWEJ W KRAKOWIE

JERZY ŻUŁAWSKI

POEZJE

TOM II.





WYDANO W ROKU MCMVIII, NAKŁAD KSIĘGARNI
H. ALTENBERGA WE LWOWIE — W WARSZAWIE
E. WENDE I SPÓŁKA (T. HIŻ i A. TURKUŁ)


LIBRARY
FEB 15 1967
UNIVERSITY OF TORONTO


TVvM FAC
NES
RESPICIAS
FINEM

STANCE O PIEŚNI.

1896.

...albowiem Poezją jest to wszystko, co sprawia, że nieistniejące rzeczy istniejącemi się stają...

Plato, Symposion.

I.

Pieśń mię nie nęci, która tylko jęczy,
gdzie śpiewak własne tylko śpiewa bóle,
w której ogromne serce nie zadźwięczy
ni się odezwą wielkie Duchy-Króle, —
a jeśli błyśnie czasem rąbkiem tęczy,
to zaraz gaśnie w tej rzeczułki mule,
z której wybłysła, jak brama barwista,
ale daleka i zimna — i mglista...

II.

I choćby nawet perłami fontanny
pieśń ta się skrzyła i błyszczała rosą:
wielkiego echa dźwięk nie znajdzie szklanny
ni ją anioły pod niebo zaniosą!
Nie idą w błękit ślazy ni dziewanny,
zrzynane rychło ostrą czasu kosą;
wśród zniszczeń dęby jedno patrzą w górę,
i świerki — szczytne, dumne, choć ponure!

III.

Dzisiejsze piosnki — maleńkie, jak kwiaty,
woń tylko dają, barwą pieszczą oko, —
lecz gniazda na nich nie zwije skrzydlaty
goniec niebieski, ani się wysoką
koroną wzniosą, by pojrzeć za światy,
nim bez ech zginą pod prochu powłoką!
Ja pieśni takie sam śpiewam, a przecie
czuję, że inne, większe są na świecie.

IV.

Wiem, że pieśń musi być, jak dzwon potężny,
który umarłych budzi, żywych woła, —
i pieśń, jak orzeł lotem niebosiężny,
z okiem na słońce i z wichrem u czoła, —
i pieśń, jak odgłos strasznych trąb mosiężny
nad Chalcedama rolą, gdzie Anioła
piersi uderzą takich wichrów szałem,
że prochy duchem staną się i ciałem!

V.

I pieśń być musi, jak ludów królowa,
jak sztandar zdarty w kul ognistym deszczu,
i jak w płonącym krzu straszny Jehowa,
i jak pioruny, gdy przy ziemi dreszczu

Bóg na Synaju grzmiał praw swoich słowa — —
Taka pieśń musi być — a taka w wieszczu
święta potęga, jak w Mojżesza dłoni,
za którą poszedł lud wskróś morskich toni!

VI.

Lecz gdzie dziś szukać takiej wielkiej głowy,
co chodzi strojna w promieniste rogi? —
gdzie szukać piersi, która, jak spiżowy
dzwon napełniony sercem, wśród pożogi
czasów ozwała by się w głos wichrowy,
budzący ludy i budzący bogi? —
gdzie harfy, której metalowe struny
umieją błyskać, grzmieć, rzucać pioruny?...

VII.

Oto są harfy naszych mistrzów stare,
harfy pomarłych Derwidów zaklęte,
na których oni swą miłość i wiarę
śpiewając, w boje prowadzili święte,
i wielką, krwawą spełniając ofiarę,
na stosach ludy palili wyrznięte —
lub kładąc palce na Zabitej włosy,
wielkie, bolesne dobywali głosy...

VIII.

Lecz któż dziś ruszy harf tych święte łona?
Pył już wiekowy przysiadł brzmiące struny,
pieśń, co z nich brzmiała, w echu kędyś kona...
Dziś już na stosy nie zlecą pioruny,
ani rycerzy grześć będzie natchniona
wróżka, pisząca na kamieniach runy
Sławy — i ojca klnąca, że u wroga
zostawił harfę, a w niej ludu Boga.

IX.

O! są te harfy, jak cedrowe trumny,
a pieśń, jak mumja, śpi w nich i śni — może...
Może się pieśni z granitu kolumny
marzą i ranne ponad niemi zorze,
i okrzyk jakiś ogromny i dumny,
wywołujący słońce na przestworze
niebios — i ziemia ze snu się budząca...
Takie sny może pieśń ma w harfie śpiąca...

X.

Lecz kto ją zbudzi, kto jej powstać każe?...
kto jej marzenia senne ucieleśni?
Kamień na grobie, przy kamieniu straże
wołają: Niemasz zmartwychwstania Pieśni!

A ona — słucha w grobowej pieczarze
i duma tylko, że my, nowocześni,
niegodni cudu, ni grobu pęknięcia,
ni jej widoku w chwale wniebowzięcia!

XI.

Czyż znikczemniałe epigonów plemię
poszłoby za nią, jak chadzali ojce?
czy by jej śladem wkrąg obiegło ziemię,
z puszczy — na Tabor — i w cierpień ogrojce?
O! stokroć lepiej dźwigać grobu brzemię,
niźli wyjść na świat, gdzie złocone kojce
są z papugami, lecz niema w lazurze
orłów, w słoneczne lecących podróże!

XII.

Dawniej szedł z lutnią poeta natchniony
na szczyt lodowy kamienistym żlebem —
ze szczytu rzucał na wsze świata strony
pieśni karmione swego serca chlebem —
a one górą szły — jak gwiazd legjony!
Dziś?... Gdym wzniósł głowę szukając pod niebem
Pieśni — ktoś krzyknął: »Szukasz Pieśni? — głupcze!
pójdź-że więc do mnie, ja tą rzeczą kupczę!«

XIII.

A ja myślałem, że on mnie wprowadzi
w kraj nadobłoczny, lub na bezmiar stepu,
kędy się wicher z echem grzmotu wadzi,
lub gdzie z mogiły i z sławy czerepu
wonny kwiat wzrasta, — on tymczasem sadzi
wązką uliczką, drzwi otwiera sklepu,
gdzie mnóstwo cacek błyskotliwych świeci,
jakby w kramiku zabawek dla dzieci!

XIV.

O! sklep bogaty i klejnotów wiela!
djament i złoto, posążki, kameje, — —
lecz gdzież Athene, co słońcu odstrzela
promień z swej włóczni, gdzie stworzenia dzieje
na strop rzucone przez Michelangela,
gdzie Sfinks, co w piaskach się bezbrzeżnych grzeje,
a nadewszystko — gdzie posąg Memnona,
co drżał, gdy słońce mu drasnęło łona?...

XV.

Ha! dłoń dzisiejsza młotka nie udźwignie,
by wykuć z głazów olbrzymy kamienne,
i głos się pierwej złamie i zastygnie,
nim pieśń wyśpiewa, która jak brzemienne

gromami chmury po błękitach śmignie
i grzmiąc rozbudzi w skałach echa senne...
Bezsilne dłonie i bezsilne płuca —
a czas Poezji czasze — próżne rzuca!

XVI.

Chciałbym, by serce moje, w pieśni dreszcze
wcielone, brzmiało, jak muzyczna fuga;
a zwrotka pierwsza: *Już pomarli wieszcze!* —
Niech się narodzą znowu! — zwrotka druga.
Choć pierś ma słaba, póki głosu jeszcze,
wołać tak będę, świętej Pieśni sługa —
bo to wam powiem raz trzeci i setny,
że wieszcz ostatni zmarł już — a bezdzietny!

XVII.

On! co przez czyściec idąc i przez piekła
wołał: O Panie! kędyż jest to — trzecie!...
Krew mu wtórzyła, która z krzyży ciekła,
a głos mu odrzekł: Niemasz nieba w świecie
ludzi dzisiejszych! — — Jego myśl oblekła
w ciało dawnego świata wielkie dziecię, —
i szedł Irydjon w kraj mogił i krzyży,
lecz zbłądził w drodze — a czas leci chyży...

XVIII.

A my — rozbitki — gnani falą czasu
darmo błagalne podnosimy dłonie:
gwiazdy nie świecą i niemasz kompasu,
któryby drogę pokazał przez tonie
pełne wściekłego bałwanów hałasu;
a my — jak trzoda na pustym wygonie:
wilcy dokoła, pasterza nie staje,
co za swe owce własną duszę daje.

XIX.

O! był-ci pasterz! — Słyszycie? — gdzieś z dali,
z przeszłości mroku jakiś głos dolata:
nad świat się wznosi, grzmotem w niebo wali —
od echa grzmotu drżą posady świata,
a Czas zdziwiony, nieruchomej fali
podobny, patrzy: kto w Wieczność kołata? —
To Tytan wezwał na bój święty Boga
za lud swój nogą przygnieciony wroga!

XX.

»Ja miljon jestem! — woła — bo mam serce,
co kocha, cierpi za ludów miljony! —
jam jest wiecznością ukrytą w iskierce
życia, — jam duszą w mój naród wcielony, —

a mocy żądam, by lud w poniewierce
ginący podnieść! — daj jej, bo w Twe trony
uderzę strasznym swego serca gromem
i wtargnę w niebo startych ziem wyłomem!...«

XXI.

Pieśni rycerze, buntowniki wieczne,
duchem do nieba po wawrzyn się darli —
a z krzyżem ciężkim szli przez drogi mleczne,
a gdy na krzyżu — zwyciężając — marli,
sztandar i czary goryczy konieczne,
których się boją ująć w rękę karli,
w dłonie swych uczni-buntowników słali —
i *Consumatum* mówiąc, umierali.

XXII.

Oto trzy były krzyże na Golgocie
i trzy na krzyżach przygwożdżone Słońca;
a jedno w tęczach, miało gromów krocie
w ustach, — a drugie było jak obrońca
czasów i szermierz ducha w świętym locie, —
trzecie, jak matka, z miłością bez końca;
a wszystkie były krwawe i zbolałe,
lecz pod powłoką krwawą wewnątrz białe.

XXIII.

A co? — pod krzyżem, ot, uczni gromadka,
zgorszeni, smutni i pełni zwątpienia;
a co? — pod krzyżem, ot, zbolała Matka, —
chociaż siepacze szydzą z jej cierpienia,
ona przy synach jedna do ostatka
wytrwała: serce matki się nie zmienia!
Uczniowie trwożni poszli skryć się w domu,
kielicha myrrhy wziąć nie było komu...

XXIV.

O nie! nie padła w proch prześwięta czasza!
dwaj ją podjęli, dwaj wierni uczniowie!
Jeden z nich woła głosem Jeremjasza
i chodzi w wieńcu cierniowym na głowie;
drugi na grobach śnił — z mogił poddasza
wyszli do niego Pańscy aniołowie,
a on, rzuciwszy kwiaty, które zbierał
śpiewa jak łabędź —: będzie już umierał.

XXV.

To dwaj ostatni, co się mierzyć mogą
z mistrzów pomarłych nieśmiertelną chwałą,
co idą jeszcze wielkich ojców drogą,
choć wzięli po nich spuściznę nie całą...

Tysiąc u tamtych strun dźwięków pożogą
na bój, do słońca, do czynu wołało,
a dziś — dwie struny zostały na lutni;
ostatni grają na nich — obaj smutni.

XXVI.

Tak dwaj lirnicy, niosąc pieśń przez światy,
przyjdą na miejsca, gdzie brzmiało wesele,
a widząc zgliszcza, kędy niegdyś chaty
stały, chwast bujny na ścieżkach i ziele,
rozedrą z bólu na swych piersiach szaty,
płaczem znużeni usiędą w popiele
i tu, gdzie inni weselu śpiewali,
śpiewają pustce, — wiatr się pieśni żali...

XXVII.

A jeden lirnik oszalały bólem
ziemi skrwawionej w dłoń wyschniętą bierze
i woła strasznie do Tego, co królem
jest tam na niebie, czemu Go pacierze
wdów nie wzruszyły, dlaczego nad ulem,
który mu służył tak długo i szczerze,
nie miał litości, jeno ul wywrócił,
mieszkańce pobił, a piewce zasmucił.

XXVIII.

A drugi jęków wichru w gruzach słucha
i suchem okiem po zniszczeń obszarze
wodzi — a jest w nim tajemna otucha,
która w nieszczęściu patrzyć w przyszłość każe;
z nią więc zstępuje w tajną otchłań ducha
i, mocząc usta w świętej mędrców czarze,
duma i czeka — lecz trupów nie woła
z grobu, nie wiedząc, czy ich wskrzesić zdoła.

XXIX.

Duma i czeka — — Czasem struny pieści,
lecz dźwięk ich głucho pogrobowcom dzwoni,
bo nie pobudkę, lecz wytrwanie wieści...
Gdy kto do wielkich strun odważy dłoni,
starzec w obawie, że się głos zbezcześci,
co brzmiał potężnie, świętokradztwa broni:
»O! nie trącajcie ręką nieudolną
struny, co brzmiała chwałą, będąc wolną...«

XXX.

I jak się dziwić, że tak woła starzec,
który strun dawnych tryumfy pamięta!
Ci, co się nie chcą wielkich pieśni zarzec,
bez czarodziejstwa są — i lutnia święta

w ich ręku sypie nie djament, lecz kwarzec;
a ci zaś, których pierś natchnieniem wzdęta
mogłaby śpiewać, którzy siłę mają,
potężną strunę w lutni omijają.

XXXI.

O! bo stalowa ta struna, nie miękka!
dreszcz jej lutniście dłoń i serce krwawi!
Gdy w niebo bije — świat w pokorze klęka;
zawoła — ludy jak stado żórawi
ciągną; a zagrzmi — to serc tysiąc pęka;
tysiąc się wskrzesza — kiedy błogosławi!
Lecz jest ta struna jako łuk Odyssa:
jedni nie skorzy, innym ramię zwisa...

XXXII.

Więc śpi ta struna, która trupy budzi
a żywym skrzydła przypina sokole!
Pieśń jej już nie brzmi przy kołyskach ludzi —,
więc z znakiem śmierci przedwczesnej na czole
rosną; poczęte życie wnet ich nudzi,
śmierć ich bezsławna, marne działań pole...
I tylko czasem jęczy struna głucha —
woła pieśniarzy, lecz nikt jej nie słucha...

XXXIII.

Piewcy się nie chcą jąć krwawego trudu,
nie chcą być źródłem, skąd życie wystrzela;
a kiedy rzesza spragnionego ludu
pogardzi pieśnią, co słońcem lat wiela
była, a niczem jest odarta z cudu,
miast natchnąć rzeszę, co się już spopiela,
mówią: »Poezjo! ty parjasów mowo,
kocham cię, żeś jest upadłą królową!« — —

XXXIV.

Nie! nie mówili tak pieśniarze starzy,
co tron Poezji podnieśli ramiony,
i u zniczowych ognia jej ołtarzy
kapłaniąc, w piersiach swych ogień święcony
w złych dniach chowali, aby, gdy się zdarzy
pora sposobna, z iskier rozniecony
płomień mógł znowu wybłysnąć, złotemi
blaskami świecąc rozbudzonej ziemi!

XXXV.

Cześć im i chwała! trzykrotna im chwała!
I tym trzem wielkim, którzy trud swój dzienny
spełniwszy, w groby porzucali ciała,
a żywot ducha z czynów swych promienny

wzięli, — bo duch ich jeszcze dotąd pała
i pałać będzie, jak gwiazda, niezmienny,
dopóki tylko żywe ludzkie plemię:
zgaśnie — gdy Pan Bóg w pył roztrąci ziemię

XXXVI.

I tym dwom chwała i cześć niechaj będzie,
co śród pogromu podnieśli się śmiele,
i pienia mistrzów mrących już łabędzie
wziąwszy puścizną, w Poezji kościele,
jak dwa ostatnie kapłany, narzędzie
pieśni znów stroją, w zgliszczach i popiele
iskier szukają i stoją na straży
opustoszałych królowej ołtarzy.

XXXVII.

Chwała im wszystkim! — bo gdyby nie oni,
może-by dla nas życia zorza zgasła,
zginęlibyśmy może w mroków toni...
Oni nam dali sztandary i hasła,
i krew serc swoich, i blask swoich skroni,
oni wołali: Żyjemy! — choć wrzasła
ćma wrogów: Zmarli! — Oni na tym świecie
wszystko nam dali — a co wy dajecie?

XXXVIII.

Wy się skarżycie, że Poezja padła,
że już królewski swój zrzuciła djadem,
że niknie nakształt sennego widziadła,
że nikt już w słońce nie idzie jej śladem,
że świat do młota wziął się i do radła,
lub zećmion piersią dziew i winogradem
woła bluźnierczo, że już nic nie warta
ta niegdyś pani — z purpury odarta?

XXXIX.

Wy się nie skarżcie! bo to nie tych winą,
co w pocie czoła pracując, nie słyszą
pieśni, więc myślą, że już wszystko gliną, —
ni tych, co martwą przerażeni ciszą,
złotem się cieszą, winem i dziewczyną:
to wy, pieśniarze, sami szatę mniszą
tkacie królowej, wy najwięcej winni!
świat będzie inny, lecz wy bądźcie inni!

XL.

Któż to miał wznosić Poezji sztandary,
i kto pozwolił paść sztandarom w walce?
kto miał dodawać nadziei i wiary,
i kto wychował zwątpienia padalce?

kto miał świat poić z świętej natchnień czary,
i czyje w proch ją upuściły palce?
kto miał być duchem, który nie umiera,
a przyjął rolę płaczka lub — żonglera?

XLI.

Świat zasnął? dobrze! więc go zbudzić trzeba! —
gdy pieśń nim wstrząśnie, ocknie się i wstanie!
Świat wzgardził *Słowem*, łaknąc jeno *chleba?*
a gdzież to *SŁOWO* wieszczące zaranie
dni nowych, z ziemi wiodące do nieba?
Czy może wasze malutkie śpiewanie
ma zbudzić ludy i otrzeźwić dusze?!
Choć ból mam w sercu wielki, śmiać się muszę!

XLII.

Chciałbym urągać, chciałbym śmiech szyderczy
w oczy wam cisnąć! Wychłostane szydem
czoło, co mocą nad tłum szary sterczy,
lecz, gnuśne, nie chce być ludu Derwidem,
nie chce się podnieść, — na mój głos bluźnierczy
może się wstrząśnie, zarumieni wstydem
i boże w sobie odsłaniając znamię,
czynem da poznać światu, że ja kłamię!

XLIII.

Bodaj-bym kłamał! — lecz wy dajcie dowód,
wy mi pokażcie, że nie mam słuszności,
że Królów-Duchów wiekowy korowód
bez przerwy ciągnie i pośród ciemności
oświeca drogę, że i wasz rodowód
jest z tamtych dawnych bohaterów kości,
co nie biadali, że Poezja padła,
lecz duchem słali w nią blask, by nie bladła!

XLIV.

A wiem — możecie! I wy macie oko
błyskawic pełne, pełne wichru piersi, —
woli brak tylko, by się wznieść wysoko!
O, bądźcież w myślach potężniejsi, szersi,
świećcie jak gwiazdy nad cieniów epoką,
nie samolubni w uczuciach i szczersi,
nie roztrwaniajcie na cacka potęgi,
purpury ducha nie tnijcie na wstęgi!

XLV.

Dziś się papugi zagnieździły wszędzie,
lecz są i orły, chociaż gnuśnie drzemią...
Dla nich ja śpiewam — i mnie dosyć będzie,
jeśli z nich jeden, zbudzony, nad ziemią

wzleci i rzuci pieśń nad skał krawędzie;
— wtedy się ptaki krzykliwe oniemią!
Jam jest jak Chrzciciel, co nie działał cudów,
lecz wieścił przyjście ZBAWCY pośród ludów!

XLVI.

O, niechaj przyjdzie ten pieśniarz przyszłości,
niech przyjdzie Zbawca, bo go nam potrzeba,
jak trzeba ducha dla człowieczych kości,
jak orłom skrzydeł do lotu i nieba,
jak różom słońca, jak sercom miłości,
jak zgłodniałemu na pustyni chleba —
niech przyjdzie! — Wołam tych, co mają siły;
ze mną proroków krzyczą trzy mogiły.

XLVII.

Do skrzydeł, orły! — jest błękit niezmierny
i wichry, które łamać piersią lubo!
Do szponów, orły! — oto kruk niewierny
gołębim gniazdom w dole grozi zgubą!
Do słońca, orły! — ziemski lud bezsterny,
ciemnością zewsząd otoczony grubą,
błaga was, byście mu wskazali okiem
drogę w obłoki i ponad obłokiem!

XLVIII.

Bądźcie przeklęci, jeśli tych co głodem
swoich wnętrzności, swoich ócz ślepotą
wołają do was, wy, miast życiem młodem
napełnić, oczy ich na gwiazdę złotą
ciemne otworzyć, z szyderstwem i chłodem
precz odepchniecie, — albo przed Golgotą,
którą za cuda faryzeje grożą,
drżąc, w własnej piersi skrę stłumicie bożą!

XLIX.

Do was ja mówię, co jak złote ptaki
macie lot świetny i krwi swojej rosą
skrapiacie ziemię! Gdy ptak ladajaki,
szczygieł lub wróbel, w górę się nie wzniosą,
to ich nie winić! — Was w podniebne szlaki
do słońc tęsknota i piór groty niosą —
więc zamieniajcie w czyn waszą tęsknotę,
lećcie, a innych wznoście, ptaki złote!

L.

Bo nie dość słońcu swe tęczowe pióra
w górze pokazać, nie dość śnić o raju,
gdy świat śniegowa cieniem kryje chmura,
nie dość się kąpać w własnych łez ruczaju:

lecz walczyć trzeba, aby noc ponura
znikła i dla was i dla tych rodzaju,
którzy nie znają, co loty sokole,
ni mogą w słońce patrzyć, gdy cień w dole...

LI.

A wy nie mówcie: Cóż my zdziałać możem,
my, co pieśniami wojujem, nie mieczem? —
wy tak nie mówcie, bo wy słowem bożem
mocni, władacie plemieniem człowieczem!
Wy mówcie raczej: łan, który zaorzem,
wyda plon suty — choć nie my go zsieczem;
drogą, którąśmy wytrzebili z trudem,
lud pójdzie — choć nie my pójdziem przed ludem!

LII.

Bo wiedzcie: lud jest zimny — jak prochownia,
ale ma w sobie wybuchy wulkanu, —
a wy jesteście, jak ognista głownia!
Lud jest jak tajny bezmiar oceanu,
potwornych czasem burz i walk widownia,
a czasem pełen milczenia kurhanu, —
a wy — jak wicher z anielskiemi pióry,
co na płaszczyznach wodne piętrzy góry!

LIII.

Wszak obowiązkiem waszym jest i prawem
wytyczać nowe drogi pokoleniom!
a choć współcześni wam po ciele krwawem
przejdą, ku dawnym się cofając cieniom,
nie przeklinajcie, ani pieniem łzawem
skarżcie się losom, ni dajcie zwątpieniom:
tam gdzie padniecie, walcząc jutra pomni,
świątynie stawiać będą wam potomni!

LIV.

Nie na dziś wasze trudy i zachody,
nie na dziś walka, cierpienie i praca,
nie na dziś dusz i serc potworne głody,
nie na dziś myśl ta, co światy wyzłaca,
nie na dziś piorun, co budzi narody,
nie na dziś gniew wasz, co turmy wywraca:
z siewu waszego *Jutro* zbierze plony, —
Dziś klnie, że pługiem drzecie łan w zagony!

LV.

To los wasz! Za to, że jako Daniele
walić będziecie drewniane bałwany,
powstaną na was bałwanów czciciele,
w cierń was ubiorą, w łańcuchy i rany,

i w pogardzonym przez was swym kościele,
— póki nie padnie — każą wam kolany
kajać się — głupi! nie wiedząc, że życie
wschodzi na gruzach, które wy piętrzycie!

LVI.

Pieśń nie przynosi na ten świat pokoju,
lecz miecz i głownię! — i nie kołysankę
ma, lecz pioruny w słów swych świętym stroju!
Nieubłagana jest, jako Ananke,
i nie spoczywa nigdy w wiecznym boju,
jako duch świata, który istnień tkankę
wyplata z siebie! — tylko śmierć spokojna;
a pieśń jest życiem; matką życia — wojna!

LVII.

Pieśń — ideału wieczyste wcielanie,
a ma na *jutro* wciąż zwrócone oczy,
więc co jej *dzisiaj* wpoprzek drogi stanie,
roztrąca, depce i po gruzach kroczy
naprzód, gdzie błyszczy nowych dni zaranie,
których nie widzą ślepi, lecz proroczy
duch jej to widzi i do światła dąży,
jak nieśmiertelny rozruchów chorąży!

LVIII.

O! bo spokojny byłby świat bez Pieśni!
taki spokojny, jako Martwe Morze,
zastygłe w ciszy i zakrzepłe w pleśni,
nad którem żadne ptaszę nie rozporze
skrzydłem powietrza, — jak trup w grobu cieśni,
któremu blaskiem snu nie przerwie zorze,
ni dźwiękiem żadne w bój wiodące surmy,
ani łoskotem walące się turmy!

LIX.

A więc tej Pieśni, co dłonią wzniesioną,
bezsenna, w świętym natchnienia obłędzie,
jasnowidząca, gwiazdę oddaloną
wciąż pokazuje i w szalonym pędzie
tententem wstrząsa martwe ziemi łono —
chwała na niebie i ziemi niech będzie:
bo ona życia światów rodzicielka
i duchów pani a królowa wielka!

LX.

Jeśli zaś mówi kto, że na tym świecie
pieśń ma ochłodą tylko być, uciechą,
na kamieniste ścieżki sypać kwiecie,
łzy tylko suszyć pod ubogą strzechą,

pieścić ma, bawić, być tylko jak dziecię,
którego śmiechu smutek płoszy echo,
i złocić ściany wielkiej świata kuźni:
jeśli kto mówi tak — zaprawdę, bluźni!

LXI.

Pieśń ma zadania większe do spełnienia,
niźli na ścieżkach z przed stóp łamać ciernie!
Owszem, nie strąca ona z dróg kamienia,
po których idą jej wyznawców czernie
jej głosem naprzód gnane bez wytchnienia,
by w walce światła dostały! — nie biernie!
Pieśń jest jak słońce, co rolnika znoi,
lecz karmi zbożem, winogradem poi.

LXII.

Pieśń przed oczyma ludu stawiać winna
obrazy, które w życiu snem są jeszcze,
ale ku którym fala czasów płynna
kaskadą leci, za któremi wieszcze
tęsknią. Tęsknota wieszczów wiecznie czynna
krwawe ze źrenic ich wydziera deszcze, —
w kroplach — tęsknoty przedmiot upragniony
lśni, jako tęczy szlak w chmury rzucony.

LXIII.

A jeśli zdoła Pieśń w tłumie rozpalić
świętą tęsknotę do tęczy-przyszłości,
że wstanie gotów na swej drodze walić
wszystkie przeszkody, a rzucając kości
w przydrożne groby, nie będzie się żalić
jeśli mu tylko odblask tej jasności,
ku której dążył, w oczy się zaśmieje, —
a innym znowu moc da i nadzieję;

LXIV.

jeżeli zdoła — to pieśń taka święta,
chociażby nawet ślad drogi znaczyła
mogił tysiącem, choćby ogniem wzdęta,
burzami gniewna, w przelocie paliła
gniazda, bezdomne rzucając pisklęta, —
bo w takiej pieśni jest ta boża siła,
co słońca stawia: nad zniszczeń popiołem
Feniks przyszłości wzniesie się — Aniołem!

LXV.

Taką śpiewajcie pieśń, a jak prorocy
pójdziecie znowu przed ludem, pieśniarze!
A jeśli kiedy Samsonowej mocy
zbywszy, padniecie pod obce ołtarze,

wierzcie, że wróci siła w zwątpień nocy
i zaś zdołacie na więzień filarze
wsparci, tak sercem w ten filar uderzyć,
że padnie — choć wam chwili tej nie przeżyć!

LXVI.

Nie przeżyć — ciałem; lecz ten duch, co wali
fałszów świątynie, ponad gruzy wzleci
i jako gwiazda, co się wiecznie pali,
palić się będzie nad morzem stuleci
i w każdej nowej rozhukanej fali
w niebo skaczącej znowu się roznieci,
i przez wcielania w swych skutkach bez końca
przeżyje ziemie i ziem stare słońca.

LXVII.

Jeżeli jednak nie czujecie w duchu
siły, któraby was z zwątpienia dźwigła,
jeśli wam wola słabnie w marzeń puchu,
serce zamiera i pierś już ostygła,
jeśli spoczynku pragniecie, nie ruchu,
skarżąc się tylko, że wam myśl nieścigła
czasem sny mąci, że lud do was krzyczy,
a los podaje puhary goryczy;

LXVIII.

lub jeśli w własnych słów tkankę pajęczą,
własne boleści, w własnych zwątpień sidła
wplątani — własnej niemocy obręczą
skute ponuro opuścicie skrzydła,
i tylko w własną pierś patrząc, gdzie jęczą
same rozstroje: za marne mamidła
uznacie wszystkie wielkich dusz porywy,
przeto, iż duch wasz *dziś* jest nieszczęśliwy, —

LXIX.

wiedzcie: chociażby z ust wam perły, róże
leciały — *jutro* wieków was zapomni!
Bo kiedy wstaną na tej ziemi burze,
które wzniecają sercami ogromni,
w proch pójdą kwiatów, pereł pełne kruże,
a nowych czasów rycerze niezłomni
tych wezmą hasła, jako spadkobierce,
którzy przyszłości dawali swe serce!

LXX.

Nie w dniu dzisiejszym żyje ludów dusza!
Każde ich serca uderzenie zmierza
w przyszłość; westchnienie, co pierś ich porusza,
w przyszłość ulata; słowa ich pacierza,

praca ich dłoni, łzy, śmiech, co osusza
wilgotne lica, szczęk miecza, puklerza,
lutni dźwięk, miłość, wiary i nadzieje —
wszystko jak wicher w przyszłość, w przyszłość
wieje!

LXXI.

I tylko ludy tknięte śmierci dłonią
i zstępujące duchem w głąb kurhanu,
choć ciałem żywe, okiem już nie gonią
jutra, nie czują w sobie huraganu,
co w przyszłość pędząc ponad wieków tonią,
tęsknotą zgina kłos ziemskiego łanu...
Bóg takim ludom wieszczów już nie zsyła;
dziś im śmiech może, lecz jutro — mogiła.

LXXII.

My — nie umarli, chociaż śmierć nam sina
w oczy zajrzała! Cielsko martwe leży,
lecz duch dzień boju i walki zaczyna!
Baczcież wy, aby nie brakło rycerzy,
gdy przez wróżbitów głoszona godzina
na wielkim świata zegarze uderzy —
bo ona będzie jak ów Oblubieniec:
dla śpiących ciemność, czuwającym wieniec!

LXXIII.

Wskrzeszajcie serca! — serc setki, tysiące!
Niechaj powstaną — z grobu i kołyski,
a krwią czerwone, wielkie a gorące,
na czyn gotowe, a w piorunów błyski
na złotem niebie bez drżenia patrzące!
Jeżeli wstaną — dzień zbawienia blizki!
Cudem to zwiecie? — więc działajcie cuda;
działajcie z wiarą, a cud się wam uda!

LXXIV.

Do pieśni zatem, do pieśni, do czynu!
Oto już czasów spełniła się czara
i krew z niej zciekła kroplami rubinu —
na grobach życie, i nowa cytara
na piewcę czeka, i gałąź wawrzynu
na nowe czoło, i nowa ofiara
u stóp ołtarza czeka na kapłana,
i moc prorokom na nowo jest dana!

LXXV.

My jak Wenedów odrodzone plemię
na bój ostatni w piorunowej nocy
wstaniem, by podłe jarzma zrzucić brzemię, —
lecz pieśń nam jedna może dodać mocy,

nad miecz silniejsza, wzruszająca ziemię
potęgą, którą władali prorocy —
i cała walka na nic się nie przyda,
jeśli nie zabrzmi święta pieśń Derwida!

LXXVI.

Ale nasz Derwid — to nie gołąb siwy,
któremu z głowy włos odarły gromy, —
to nie na kosach córki nieszczęśliwy
starzec grający śmierci — niewidomy;
nasz Derwid w wieńcu płomienistej grzywy,
słonecznem okiem patrzący w ogromy
światów, a z czołem tonącem w błękicie:
pieśń jego będzie nie na śmierć — lecz życie!

LXXVII.

Życie — co będzie jako walka święta,
walka wieczysta, lecz świadoma celu,
a zwycięstw pełna, bo o światło wszczęta,
gdzie wierząc w sprawę woje mrą w weselu, —
jak Gedeona bój, gdzie zrywa pęta
nie broń ostrzejsza ni żołnierzy wielu,
lecz mała garstka wybranego męża
prze pochodniami wroga i — zwycięża!

POBUDKI

1894—1898.

ANIOŁ NOWEGO WIEKU.

Jaka cisza na świecie... Śniegi miękkie leżą,
gwiazd miljony nad cichą ziemią cicho świecą,
śpi już wszystko — i skrzydła wichrowe nie lecą
wstrząsać białą, śniegową cichych puszcz odzieżą,
nad któremi ukazał się księżyc niecały —,
a tak cicho wypłynął, jakgdyby był senny,
jakby wstydził się w głuszy, że taki promienny,
taki wielki i smutny, w ciemnej nocy biały.
Ziemia jakaś zmęczona, ciężka i leniwa,
i bojąca się głosu i cichości rada,
zastygniona i śniegiem białym cała blada,
i szczęśliwa, że śpi już i że już spoczywa...
To noc wieku starego. Nad przepaścią czasów
usiadł starzec przed śmiercią, roi jakieś dumy,
a ze wspomnień się snują widm niejasnych tłumy;
wszystkie jęczą, a wtór im dają jęki lasów
rozpłakanych bez wiatru, jedno mocą ducha
wiejącego przez światy łez ogromną rzeką.
Starzec duma — a drży mu włos biały jak mleko,

drżą mu ręce — i blednie, boi się i słucha,
zali z godzin ostatnia na wieków zegarze
nie uderzy... Wybiła! Jak zwalona kłoda
runął w przepaść i wartka go uniosła woda.
Nowy król już na starym tronie światom każe!
Cóż to ludzie? wy śpicie i cicho na ziemi?!
Cóż to ludzie? wy śpicie! Wy śmiecie w noc taką
spać i niebios odwiecznym tam urągać znakom,
które nowy bieg dłońmi wytknęły jasnemi?
Hejże! wstańcie! Czyż nic was we śnie nie porusza?
Czyż nie bije wam w piersi serce jakieś nowe?
Czyż duch jakiś nie kładzie rąk na senną głowę,
nie woła: Jeśli żyje, niechaj wstanie dusza!?
Oto widzę go! Idzie wielki, niebosiężny,
jasną gwiazdę na barkach miasto głowy niesie;
a gdy przez las przechodzi, pieśń się wszczyna
w lesie, —
a gdy idzie przez góry, każdy szczyt potężny
drży jak harfa pod stopą dumnego Anioła, —
a gdy idzie przez śniegi, niwa mu się kłoni
roztętniona od kopyt jego białych koni,
które przodem wypuścił i głosem je woła:
Zbudźcie! zbudźcie tententem wszystko ciche, śpiące!
Rozhukanych rumaków tentniące tabuny
pędzą, parskając z nozdżów rozdętych pioruny,
grzyw rozwianych, ognistych falami świecące —

a przed niemi, jak morze wzburzone i białe,
tuman śniegu się kłębi i iskrzy i leci, —
a za niemi na barkach Cherubina świeci
gwiazda, której promieniem łany srebrne całe!
Wstańcież! wstańcież, o ludzie! Niech darmo nie woła
to zjawisko tentniące rumaków tabunem!
Wstańcie! ruszcie się przecie pod sennym całunem:
wkrótce będzie już późno! Przybycie Anioła
trwa tak krótko; — a potem dla was noc — na wieki!
Oto widzę! — już niknie i tentent już ginie...
Już zapóźno! Więc śpijcie... Lecz nim czas przeminie,
błyśnie piorun i wyżre oko z pod powieki, —
błyśnie piorun i Anioł w błyskawicy stanie,
skinie ręką i tabun rumaków, jak burza,
przejdzie po was, iżeście nie słuchali stróża,
który wieścił wam ślepym dzień na ziemskim łanie!

APOSTROFA.

Chciałbym dodać wam wiary, nadziei, otuchy,
dlatego właśnie, że mnie nikt wiarą nie poił;
chciałbym rany wam goić, bo mnie nikt nie goił
ran serdecznych; podnosić chciałbym wasze duchy,
bo w zwątpieniu nie podniósł mnie nikt dłonią bratnią;
chciałbym dać wam to wszystko, czego mnie nikt nie dał,
com wywalczył dopiero, gdym zdrowie zaprzedał,
siły stargał przedwcześnie, łzę wylał ostatnią! —
Chciałbym dać wam to wszystko, bo wiem jak boleśnie
iść przez życie bez skarbów nadziei i wiary,
wątpić, padać i gorycz chylić do dna czary,
widzieć ciemność na jawie a kląć blask, co we śnie
tylko złoty się jawi, aby cienie nocy
tem czarniejsze się zdały — a doczekać brzasku,
kiedy oczy oślepłe już nie zniosą blasku,
a do życia i czynów już nie stanie mocy. —

POWRÓT.

Powróciłem do ciebie, ziemio ojców droga,
jako żóraw z podróży. O! przyjm mnie na łono,
utul głowę burzami i wichrem zmęczoną,
ty przystani ma cicha i nad wyraz błoga!

Ziemio ojców! jak dziecię skarżyć ci się będę,
żem zatęsknił za tobą na szerokim świecie,
pragnąc ujrzeć twe łany, twoje wonne kwiecie,
słyszeć szumy potoków i borów gawędę...

Nieraz usta zatrute klątwą zasyczały,
nieraz serce w zwątpienia noc padało ciemną,
ale gwiazdę przeczucia świętą i tajemną
jam przechował i chronił, jako skarb swój cały.

Chociaż usta bluźniły, chociaż krew się z serca
wylewała i skrzydła pękały w piorunach,
choć wichr dziką rozpaczą grał w mej duszy strunach,
a wtórował mu jękiem gorzki śmiech-szyderca,

chociaż wiele straciłem: w duszy kędyś na dnie
pozostała nadzieja, gwiazda ma przewodnia!
Wierzę, że nie ostoi się na świecie zbrodnia,
lecz przed słońcem miłości kiedyś w proch upadnie!

I z tą wiarą powracam na twoje zagony,
ojców ziemio kochana! Twe ożywcze tchnienie
wciągam w siebie, najczystsze z wszystkich upojenie,
nim mi przyjdzie odlecieć znowu w świat zamglony...

Pieśń na skrzydłach ruch ten niesie,
prometejska buntownica;
ona miecz jest i zbroica, —
sosna w wyrąbanym lesie
ostawiona na posianie,
z której nowy las znów wstanie!

Więc nam ducha, ducha trzeba,
pieśni więcej niźli chleba,
bo pieśń rodzi i pieśń wskrzesza,
pieśń moc daje, pieśń ocala;
na głos pieśni ludu rzesza,
jako wichrem tknięta fala,
wznosi czoło, wznosi ducha,
rozpotężnia się i żyje,
i jak dzwon, tak sercem bije,
i jak stos, tak ogniem bucha!

My powstaniem i żyć będziem:
nie miecz, kosa, pług ni brona,
ale harfa rozdzwoniona
życia stanie się narzędziem —,
jeno pieśni nam potrzeba,
coby rodem była z nieba!

I ZSTĄPIŁ ANIOŁ DO GROBU...

Przez drzwi żelazne i kraty złocone,
z ogromnym krzykiem, w nawalnic potoku —
spiżowych dzwonów anioły szalone
z rozwianym włosem i z płomieniem w oku
wpadły do ciemnej w katedrze pieczary
i tłukły piersią o kamienne mary.

I z każdą falą powietrza w ciemnicę
nowe zastępy cherubów się parły,
grzmot i błysk niosąc w podziemną kaplicę,
aż w trumnie z głazów drgnął prorok umarły
i rozwarł oczy i spytał anioła:
Czy to Bóg na sąd już uśpione woła?

Lecz orkan głosów tylko jego imię
rzucił sklepieniom, co krzyknęły: Chwała!
A gdzieś ze świata echa szły olbrzymie
zmieszanym chórem i katedra drżała
od jęku dzwonów... Więc On znowu pytał:
Czy dzień zbawienia ziemi tej zaświtał?

Anioły zasię: »To dzień Twojej chwały!
Ze serc spiżowych rozhukanych dzwonów,
któremi kraj Twój dziś się modli cały,
lecimy gradem — posłańce eonów,
i tu wpadamy, kędy króle gniją,
z wieścią, że pieśni Twe na wieki żyją!

»Ty śpisz spokojnie w głuchym, chłodnym grobie,
a tam Twe imię świeci, jako słońce!
Rozkołysały się dziś dzwony Tobie
i brzmią Twą sławą aż po świata końce —
i serca ludu biją dziś dla Ciebie
ogromnym hymnem, który słyszą w niebie!

»Dla Ciebie szumią dziś dęby i sosny,
dzwoni Ci zboże na złocistym łanie,
pieją Ci leśni śpiewakowie wiosny,
kwiaty się Tobie śmieją, pieśni Panie!
Ojczyzna Twoja szeroka i rolna
wielbi Cię dzisiaj...« On spytał: Czy wolna?...

1848.

Leciał z zachodu rumak złotogrzywy
przez zamki, sioła i miasta i niwy;
w ogniach i błyskach, słońcach i piorunach,
w dymu obłokach i pożarów łunach
leciał i rżał; —
z pod kopyt iskry strzelały mu duże,
trzęsienie ziemi szło za nim i burze
i wichrów szał —
i krwawa światła wstającego zorza
nad lądy ciemne, nad zastygłe morza,
nad czoła skał,
nowy wieszcząca starej ziemi wschód —
a w zorzy okrzyk: ZA WOLNOŚĆ I LUD!

A gdzie koń zagrzmiał w miesięczne podkowy,
w proch się królewskie pochylały głowy,
trzęsły się turmy, burgi i więzienia,
pękały lochów odwieczne sklepienia
w nawale burz,

rwały się więzy, łańcuchy i pęta —
wiosna wolności szła po ziemi święta
w koronie z róż:
w grzmotach i gromach, w burzy i orkanie,
w ziemi trzęsieniu, w błysków huraganie
i w ryku mórz
jawił się wieku upragniony płód —
wschodziło słońce! — ZA WOLNOŚĆ I LUD!

Nad grodów zgliszcza, nad zwalone turmy
brzmiały straszliwe archanielskie surmy,
a dźwięk ich każdy był jak miecz i płomień,
żagiew rozruchów i taran rozgromień
i święta dzwon;
ospałych budził do życia i czynu,
skroń niewolników wieńczył w liść wawrzynu
na bój, na skon —
i grzmiał po świecie wielki i szeroki
w chmury — i wyżej — nad dymne obłoki
przed gwiezdny tron,
skąd Stwórca krwawy błogosławił trud,
słysząc dział modły — ZA WOLNOŚĆ I LUD!

*

O przebacz-że nam, Wiekuisty Panie,
że choć nam zsyłasz wolności zaranie,

my, bohaterów krwią tacy rozrzutni,
zgasnąć mu dajem i znów idziem smutni
w jarzma i cień,
że spać się kładziem na ich świeżym grobie,
w godzinę świtu i o rannej dobie
bez snów i drżeń;
że znowu martwe i głuche te błonia,
któreś tententem wstrząsnął Twego konia, —
że kona dzień,
co z za rozbitych lśnił przemocy wrót
w świetnym okrzyku — ZA WOLNOŚĆ I LUD!

WSCHÓD SŁOŃCA W ALPACH.

Blednieje noc letnia a gwiazdy bezsenne,
straż świata odbywszy, już toną w błękicie
i kłoniąc swe czoła jasnością promienne,
łzą rosy porannej nocne płaczą życie.
Od wschodu rozświta. Mgły tuman się korzy
opada, gęstnieje, doliną się wije,
pokorny się kładzie u szczytów podnóży
i skrzydłem wilgotnem skały z pyłu myje.
Iglice lodowe spłonęły rumiane
i pierwsze słoneczne chwyciwszy promienie,
z czół je odrzucają na lody zaspane,
pozłotą śnieg krasząc. Na stoków kamienie
deszcz światła się leje. Dzień zesłał już gońca,
promieniem rozbudza zmartwiałe opoki
i stroi świat cały na przyjęcie słońca.
Jeszcze nie zabłysło, nie zwiało pomroki,
co w dołach się kryje. Ta na wschodzie skała
zczerniona, olbrzymia w łonie je swem trzyma,
a chociaż dokoła jasne niebo pała,

w świat puścić go nie chce, waha się i zżyma.
Blask niżej opada. Ożyła toń lasu,
co czarnym pod śniegiem zasłała się wiankiem —
i ptaki już słychać od czasu do czasu.
Szczyt wschodni, jak czarny węgiel wśród ogniska,
brzegami się żarzy, już świta porankiem...
pociemniał i — wybuchł! Już słońce rozbłyska!
Chór ptasząt się podniósł i wita tytana.
Świetlane potoki, ślizgając po skale,
opadły w dolinę. Mgła w świetle skąpana
podnosi się wyżej, rozszerza zuchwale,
na słońce się dąsa, noc chce wrócić światu.
Słońce walkę toczy. Grot światła ją wierci, —
zraniona się broczy barwami szkarłatu;
wiatr ranny ją napadł i targa na ćwierci.
Buchnęła ku niebu ratując swe życie,
lecz słońce ją chwyta, oddechem ją pali;
pobladła i kona, rozpływa w błękicie. —
Dzień nastał! Sto blasków! Tam u stóp w oddali
błysnęło do słońca srebrzyste jezioro,
olbrzymiem zwierciadłem rozlśniwszy krainę,
i wnet mu się fale w pozłotę ubiorą
i tęcze wplatają między tonie sine.
W najgłębszych wąwozach drzemiące potoki
blask słońca do życia rozbudza i srebrzy.

Wulkanów tysiące! Wszystkie skalne stoki
i szczytów iglice i łożyska debrzy
lawą światła złote. W lesie ptasząt gwary
rozkoszne, weselne, na łąkach wysoko
trzód dzwonki im wtórzą, a dzwonkom do pary
pasterski róg zabrzmiał pieśnią w świat szeroką...
Ohohej! Ohohej! — Echo się odzywa
od skalnych olbrzymów, od lodowych szczytów
i pełna radości, rozbłysków, rozświtów
pieśń leci zwycięska, ogromna i żywa:
Hej! wstańcie bój stoczyć z ciemnością i nocą,
powstańcie jak słońce junacy-rycerze, —
miecz bierzcie słoneczny, słoneczne puklerze,
słonecznym się blaskiem przystrójcie i mocą
i pójdźcie zwyciężać! —
Ohohej!
Ohohej...!

NA SZWAJCARSKIEM JEZIORZE.

W górę żagiel, w rękę ster,
  niechaj wiosła w takt uderzą;
chwyćcie żaglem oddech sfer,
  niech się fale w krąg rozszerzą
od słonecznych drżące gier!

Niechaj barka piersią białą
  pruje lotnych grzbiety fal;
ty, sterniku, ręką śmiałą
  tam ją skieruj w siną dal, —
tu powietrza jeszcze mało!
      Hej wioślarze,
      naprzód dalej,
      po obszarze
      srebrnej fali
śmigaj wiosłem, śmigaj szparko —
  żaglem świeży chwytaj wiew,
a popłyniem naszą barką,
  jak najszybsza z śnieżnych mew!

Coraz dalej miasto już;
  we mgle wież się kryją szczyty,
a przed nami pośród wzgórz
  drżą i szumią fal błękity,
woń alpejskich wionie róż!

Tam przed nami — patrz — olbrzymy!
  Strzela w niebo śnieżny szczyt;
z czoła nie starł jeszcze zimy,
  lecz u stóp już wiosny świt:
tam kotwicę zarzucimy!
    Nie trać czasu!
    dalej w światy!
    tam wśród lasu
    pachną kwiaty,
tam nas czeka rozkosz, życie
  i góralski rzeźki trud;
żwawo wiosła nurz w błękicie
  przeźroczystych, zimnych wód!

Patrz! na brzegu winny krzew,
  jagód perły wśród zieleni,
a dokoła lica dziew!
  wino w ręku ich się pieni
w łonie młoda tętni krew!

Wabią okiem, wabią dłonią
  do spoczynku w cieniu drzew,
w szkło rubinów krople ronią,
  ku nam czarną wznoszą brew,
nęcą pieśnią, choć twarz płonią:
    »Obcy człecze,
    — pieśń ich dźwięczy —
    czas się wlecze,
    wiosło męczy,
chodź, odpocznij w naszej chacie,
  błogo minie znojny czas,
puhar wina czeka na cię;
  bądź pozdrowion pośród nas!«

Najpiękniejsza z górskich cór!
  czas nie czeka, wnet zatonie
słońce w szczytach śnieżnych gór,
  a być musim w tamtej stronie
nim z porannych wyjrzy chmur!

Dzięki, dziewczę, za gościnę
  i za piosnki twojej czar,
ale dzisiaj w dal popłynę;
  południowy ustał żar,
wietrzyk muska tonie sine,

a po chłodzie
sił przybywa,
więc po wodzie
barka żywa
mknie jak strzała bystrym lotem —,
wiatr nam sprzyja, sprzyja czas;
jeśli wrócę — to z powrotem
przyjdę spocząć pośród was!

Teraz, bracia, śmiało w dal!
Alp spłonęły w słońcu śniegi,
błyszczy woda gdyby stal
i już zmierzchem ćmią się brzegi,
już wolniejsze tany fal.

Cisza, błogość, spokój wszędzie, —
w pocałunku srebrnych wód
piersi barki drżą łabędzie,
rzeźwy, wonny wkoło chłód...
Hej! powstrzymaj barkę w pędzie!
Słowik w dali,
w róży krzewie
gdzieś się żali
w tęsknym śpiewie;
na północy — tam daleko —
jam podobny słyszał śpiew...

Ćmi się oko pod powieką, —
  śnię rodzinnych szumy drzew!...

Hej do wioseł! — Urok, czar
  tu na jawie! Marzyć szkoda, —
w snach nie znajdziesz słodszych mar;
  tu przyroda wiecznie młoda,
braknie dla niej w słowach miar!

W górę czoła! Pieśń zanucę,
  wy zadźwięczcie w zgodny wtór;
o skał ściany piosnką rzucę,
  zbudzę grzmiące echa gór
i w parowach dźwięk ocucę!
    Przez skał stoki
    powtarzana
    w świat szeroki
    pieśń nieznana
niech weselnem zabrzmi pieniem,
  a z jej nutą, chyżo wraz
niechaj wiosła uderzeniem
  zbudzą głuszę wodnych mas!

Wkrótce nocny spadnie cień,
  błyśnie księżyc nad wód szybą,

garść jej srebrnych ciśnie drżeń,
  a my przez nie śmigniem rybą,
drogą tkaną w pasma skrzeń.

Niech ten zaśnie, czyja dusza
  nie wie, co to piękna smak,
kogo urok nie porusza,
  komu wzlotu uczuć brak,
lub mu starość mózg wysusza!
        Myśmy młodzi,
        więc gwiazd szlakiem
        w skier powodzi
        lećmy ptakiem,
chylmy do dna piękną czaszę
  i nie ziąbmy młodych dusz!
te wrażenia dzisiaj nasze,
  jutro — może późno już!

Kiedy rankiem spłoną znów,
  w zorzy świetle sine góry, —
złoto cisną z śnieżnych głów
  i w słonecznej grze purpury
z białych się już zbudzą snów:

niechaj, bracia, żagiel spadnie,
  niech ucichnie wioseł szmer,

a kotwica grząźnie na dnie
  i spoczywa wreszcie ster —
tu lądować nam wypadnie!
    My u celu!
    Skały w koło —
    więc w weselu
    wznieśmy czoło:
pieśnią góry powitamy
  i przecudny boży świat —
i stu echom zawołamy:
  My nie trwonim młodych lat!

RAPSODY SZALEŃCA.

1896.

I.

Ja chcę być szczęśliwy! szczęśliwy!
A tu łzy i ból...
Oh! ból...
I łzy...
I śmiech gorszy od łez!
Gdzież mi uciec, gdzie się schronić przed nim?
Ja chcę szczęścia!
Jeżeli szał daje szczęście, — niech będę szalony!
Jeżeli szczęście jest w obłędzie, — obłąkany niech się stanę!
Jeżeli na dnie haszyszowej czary dosięgnę je, — chcę haszyszu!
Haszyszu! snu! zapomnienia!
Zapomnę, żem jest robak i pełzam po ziemi.
Będę śnił, że mam skrzydła u ramion i Boga na czole!
Haszyszu! haszyszu! szczęścia!
Czara drga przy ustach — o tak! o tak! i jeszcze, jeszcze!...

Świat znika pod memi nogami; czy ja się wznoszę
w górę, czy on w otchłań zapada?
O tak! o tak! i jeszcze! jeszcze!...
Coraz mi lepiej, swobodniej, jaśniej...
Szał mię ogarnia! — o jak mi dobrze, jak rozkosznie!
Uczuję, czego żaden śmiertelny nie uczuł; poznam
czego żaden śmiertelny nie poznał!
Świat pod stopy mojemi, — nademną Bóg!
Przestwór cały, ogromny, otwiera się przed myślą
moją, a ona leci jak piorun i żadnej nie
znajduje zapory!
Wszystko, co widzę, wszystko, co czuję, wszystko,
w co myślą uderzę — moje jest!
Pieśni latają koło moich nóg; koło ramion gwiazdy!
I jeszcze coś! co to? co to?
Ta postać!
Ukazuje się i błyska, znika i ukazuje się znowu!
Ja ją znam! Widziałem ją już gdzieś — przed wie-
kami, — i potem... drugi raz...
W zieleń rajskiego drzewa owita, z wężem u kolan
i jabłkiem świata w dłoni...
Ewa!!
Ewa czy Psyche... nazwiska nie pomnę...
Błysła znowu przed memi oczyma i nie znika już.
Wyciąga dłoń i woła: Władaj!
Rządź i władaj! —

Korona płomienna spada na me czoło: Ja król!
Ogniste jej kolce wżerają się w mą głowę, aż do
mózgu, do mózgu...
Ja król!...
Mózg mój rozpłonął i pożar objął całą czaszkę
moją!
Ja król!...
Teraz mogę śpiewać...

II.

Ja król pieśni!
Ziemia pod stopy mojemi rozesłana, jak kobierzec!
I baldakin mam nad głową wybity gwiazdami!
Ja król!
Król wszystkiego, co piękne: ziemi, morza i błękitu!
Król wschodzącego słońca i zorzy wieczornej!
Jestem bogaty i mogę dać wiele!
Jestem szczęśliwy i pełen Ducha bożego!
Błogosławieństwo moje jest wiatrem cichym znużonemu pracą rolnikowi!
A przekleństwo moje jest jak grom czerwony i głodny!
Lecz ja przeklinać nie umiem!
Zanadto jestem szczęśliwy!
Wzniosę więc ręce i będę błogosławił światu!
Będę błogosławił z wysokości mojej stolicy!
Bądźcie błogosławione pieśni, iż mię znacie i jesteście posłuszne!
Ja pan wasz!

Bądźcie błogosławione gwiazdy, iż świecicie nad mem czołem!
Ja pan wasz!
Bądź błogosławiona ziemio, iż jesteś piękna!
Ja twój pan!
Bądźcie błogosławione słońca i wiatry ciche i szerokie morza!
I wy, ryczące burze, i wy, purpurowe gromy, i wy, spienione bałwany wód!
Duch mój unosi się nad wami i króluje wam!
Bądźcie błogosławione walki duszy, zwątpieniem czarne i pełne grzmotu głuchego!
Wy jesteście nadniebnem starciem chmur, z którego piorun jasny wybłyska!
Błogosławione łzy, iż pieśni się z was rodzą!
Błogosławione cierpienia i bole i tęsknoty nieokreślne!
Jesteście orły, na których skrzydłach wzniosłem się — i oto siedzę na stolicy!
W królewskim szkarłacie i wywyższon nad ludzi!
Jak fale morza wielkiego, przewalają się wieki pod stopami memi!
Ja słyszę ich głuchy szum — i błogosławię im!
Myśl moja, jak morski ptak o szerokich skrzydłach, unosi się nad wodami!
I błogosławię myśli mojej — iż jest moja!

Błogosławię sercu mojemu, iż jest wielkie i czyste!
I miłości, bo jest rodzicielką łez!...
Oto dłonie moje pełne błogosławieństw i wyciągnięte nad światem!
Ja król!
Jestem szalony i dumny...
I jestem szczęśliwy!
Szczęśliwy, że światu błogosławię...!

III.

Pierś moja jest jak harfa droga i dźwięczna bardzo!
Oto położę palce na mej piersi i zbudzę śpiące
w niej struny!
Ja śpiewam!
Niechaj wonie kwiatów otoczą me czoło!
Wiatr nad łąkami lecący niech przyjdzie usta me
całować!
Niechaj strumienie szemrzące i rozpłakane drzewa
ucichną a słuchają!
Ja śpiewam!
Ale ja śpiewam dla ciebie, o, wybrana moja!
Śpiewam dla ciebie, boś jest jak kwiat wonna
i czysta jak kwiat!
Śpiewam dla ciebie, bo chcę, byś była szczęśliwa!
Pieśń moja daje szczęście i miłość!
Albowiem Ja jestem szczęśliwy i kocham!
Nie drżyj!
Patrz!

Ja jestem przy tobie!
Ja śpiewak boży!
I kocham cię, iżeś jest wonna i czysta!
Azali chcesz, a każę drzewom szumieć dla ciebie?
Azali chcesz, a uczynię ci wieniec z gwiazd i podnóżek z tęczy różnobarwnej?
Co chcesz? powiedz, Ja wszystko mogę!
Jestem potężniejszy niż mocarze i króle ziem!
Ja szalony pieśni król!
Nie bój się! jestem czysty i kocham cię!
Jestem odchodzący z tego świata i święty!
Oto stoję nagi i rozpieśniony jak lutnia!
Błękitne światło księżyca pieści moje ciało!
Gwiazdy zakochały się we mnie i deszczem lecą na me czarne włosy!
Stań przy mnie!
Bliżej!
Naga, czysta i piękna stań pod baldachimem mej pieśni!
My oboje!
Jak dwa dźwięki, dwa westchnienia, dwie wonie!
Ja cię kocham!
Słyszałaś już — i powtarzam raz jeszcze: Ja cię kocham!
Miłość moja nie jest z tej ziemi — i ty nie lękaj się dotknięcia moich ust!

One cię nie splamią!
Pocałunki moje są jak rosa opadająca na twe włosy!
Jak blask księżyca, który całuje nocne kwiaty!
Rosa jest świeża i wonna, a blask księżyca nie plami!
Kwiaty są nagie i czyste, a wstydu nie znają!
Ty jesteś kwiatem, bo Ja cię kocham!
Przeto powiem ci tajemnicę!
Złóż ręce i patrz w moje oczy!
Ja śpiewak!
Niebo i ziemia i cokolwiek jest — jestem Ja!
I wszystko, co piękne, wszelki dźwięk i blask — jestem Ja!
I ty, ciało twoje i myśl twoja — jestem Ja!
Albowiem moja dusza czuje wszystko, a myśl moja jest jak błyskawica, w której w noc ciemną świat koloru nabiera!
Ja śpiewak!
Wszystko jest myślą moją i moją miłością!
I wszystko jest władzą moją i mocą moją królewską!
Pieśni moje są dziś jak gołębie, które oblatują świat cały i wszystko piękno!
I wracają do mnie i całują usta moje!
A w czem się zakochają — to moje jest!
A przeto mówię tobie, kto myślą i sercem świat obejmie, ten jest światem i panem świata!
Powiedziałem ci; bądź więc spokojna!

Rozwiąż złożone ręce i zarzuć je na moją szyję!
Fale twych włosów zasieję gwiazdami i gwiazdy
z nich zcałuję!
Naga, czysta i piękna, jesteś moja!
Ale jesteś mi święta, jako Ja jestem święty sam sobie!
Jesteśmy święci i szczęśliwi oboje, gdyż Bóg mieszka
w naszych piersiach!
Ja Boga poznałem i powiedziałem tobie...
A On słyszał moje słowa i pieśń, którą śpiewałem!
Ale Ja ją śpiewałem dla ciebie!
Albowiem chciałem, byś była szczęśliwa!
Ja śpiewak!

IV.

Dajcie mi berło w rękę, dajcie mi berło!
Nie! nie chcę! — to berło ze złota!
Ja chcę mieć berło żywe, jako Ja żyw jestem!
Mocne, jako Ja jestem mocny!
I promienne, jak Ja!
Wy takiego berła dać mi nie możecie?
Precz więc od moich nóg!
Waszych bereł kruszcowych nie chcę i nie chcę panować nad wami!
Idźcie się w bagna skryć i w trzcinę!
Bo berło, którego ja pragnę, za jasne dla oczu waszych!
Wy byście poślepli! — precz od moich nóg!
Oto błękit niezmierzony, sklepienie mego pałacu zaciemnia się!
Kwiecista ziemia, tron pod mojemi nogami, drży, a miasta się walą!
Muzycy moi, nieścigłe wichry, zaczynają pieśń:

Ho, ho! ho, ho! chwała królowi!
Cześć!
Król chce berła!
Grzmot usłyszał i woła: Berła!
Jaśność staje się nademną, od końca do końca!
Wznoszę rękę; błyskawice koło niej latają, a grzmoty
ryczą: Berła!!
Król chce berła!
Wzniesioną ręką ubodłem niebo! — ha!
Oto pęka kopuła mego pałacu!
Grom!!! — Mam berło!
Mam! — —

V.

Ktoś ty!?
Nie widzę cię, lecz oddech twój czuję nad sobą!
Tobą ciężarne niebo i ziemia, jak obłok gromami
i burzą!
Straszno mi przed tobą, a żądam cię!
Przyjdź! przyjdź! niech cię poznam!
Lecisz!
Spadasz na mnie jak orzeł i wbijasz szpony w me
królewskie barki!
Płaszcz mój purpurowy ścieka krwią; kto jesteś!?
Ciężar twój czuję na sobie i twój oddech mię pali...
Myśl moja mąci się i szał mię znów ogarnia!
Skrzydłami, jak chmurami dwiema, owinąłeś mię!
Gwiazdy i ziemię i królestwo swe całe widzę jak
przez mgłę!
Przez mgłę twych skrzydeł!
Kto jesteś?!
Oto drżę i bezsilny jestem wobec ciebie, jak dziecię!

Czuję ból i rozkosz, jak dziewczyna po raz pierwszy
objęta ramionami kochanka!
Nieziemski ból i rozkosz nieziemska!
Gnieciesz mnie, unicestwiasz a razem w niebo podnosisz!
Czuję, że jestem przy tobie, jak miecz błyszczący
i jasny — miecz, niewolnik ręki.
A straszny i pan nad śmiercią i życiem przeto, iż
go dzierży dłoń potężna!
Kto jesteś? kto jesteś!
Mów!
A!! — wiem już!
Ty większy niż Ja, większy niż Ten, co nademną!
Z ciebie począłem pieśni moje!
I On z ciebie począł!
On, który stworzył świat dla mnie, jak pieśń ogromną!
Wiem już, wiem!
Bluźniłem przeciw tobie, ojcze moich dzieci!
Ty jak orzeł spadasz z nieba, jak piorun świetlisz
noce ciemne!
Tyś jest głosem Jehowy, tyś świętym obłędem proroków!
Ty — Natchnienie!
Duch!

VI.

Kto śmie urągać królewskości mojej? Kto śmie zaprzeczyć mi władzy?
Myśl moja zdobyła ziemię i skrzydła nad nią rozpostarła!
Ja król!
A oto oblegli mię synowie pyłu ziemnego i mówią: Ty glina!
A ja śmiech wielki mam dla nich jedynie!
Oblegli mię wkoło i mówią: Śmiertelny!
A ja śmiech wielki mam dla nich jedynie!
Albowiem widzę, że sądzą, iż nie ja król, lecz ciało które jest na mnie!
I urągając, ścięgnom urągają i kościom, a nie mnie!
A inni zasię wołają: Szaleniec ten powstał przeciw nam i chce burzyć świat, na którym mieszkamy!
Myślą, że gliną ja władam i prochem!
Królestwo moje nie jest z tej ziemi!

Wszak-ci nie rzekłem kości: Wstań a chodź!
Ani prochowi: Podnieś się! — lub: Spadaj!
Niech kość i glina idą swą drogą; drogi rzeczy znikomych nie krzyżują dróg ducha!
Oto rzeczy doczesne — jak wodospad wielki, spadający z gór!
Skały drżą pod nim i ziemia uderzona jęczy!
A na wodospadzie jest tęcza, którą słońce nań rzuciło!
Spadek wód ziemię rozbił i połamał skały, lecz tęczy nie zerwie!
I darmo krople uciekają z pod niej; przychodzą nowe i w tęczę muszą się wplatać!
I każda kropla staje się rubinem albo topazem, szmaragdem lub szafirem — wedle słońca rozkazu.
Słońce kaskady nie zmiesza, ani wodom każe powstrzymać się w biegu, a przecież włada nad niemi tęczą i promieniem!
Odejdźcie w pokoju i zamieszkajcie w swych domach!
Duch mój miast waszych nie zburzy, choć je przeczaruje w zaklęte grody z mgły i powietrza!
Ani się ziemia z pod nóg waszych wysunie, choć duch mój, twarz zasłoniwszy, w ciemności ją rzuci i zniszczy przed sobą!

Ziemia i wszystko, co na niej żyje; pokolenia ludzkie i wieków wypadki — to wodospad huczący przed słońcem ducha mego!

Duch mój zagląda w nie promieniami i tęcze po nich wodzi.

A one — jak zgraja niewolników pokornie zgięta pod królewskie nogi z różnobarwną szatą na dłoniach...

VII.

Słońce zachodzi — i będę się modlił!
Głośno!
Ponieważ Ja nie mam tajemnic przed Bogiem!
A ludźmi gardzę!
Będę się modlił pieśnią i chcę mieć wtór!
Słońce! ziemio i wichry! stwórzcie mi kapelę!
Oto tęcza ogromna wisi na błękicie!
Słońce wiąże do niej promienie, jak struny do brzegu formingi!
A inne końce strun przytwierdza na śnieżnych szczytach gór!
Forminga gotowa!
Wznoszę dłonie i wiatry lecą na dany znak!
Przysiadły na strunach i czekają mego głosu!
Zaczynam — grajcie wichry!
Jahweh! Sabaot! Adonaj!...
Silniej! potężniej! straszniej grajcie!
Jahweh! Sabaot! Adonaj!!...

Szerzej! potężniej! potężniej!
Jahweh! Sabaot! Adonaj!!!...
Ziemia drży — ja się modlę!
Adonaj!!!!«

VIII.

Oto syt już jestem piękności świata bożego i chcę być sam!
Sam z myślą moją!
Rozwijam skrzydła i przelatuję jak błyskawica przestwór od końca do końca!
Rozłożyłem ręce, a gwiazdy, jak piasek złoty, przesypują się między palcami moich dłoni!
Mijam wirujące słońca, komety z ogonami płomienistemi i różnobarwne księżyce!
A one, niknące w dali, poglądają za mną i mrugają oczyma!
Dalej! dalej! wciąż naprzód!
W dole lśni biała nitka, biały pereł sznur!
To mleczna droga — a na niej słońca — za chwilę wspomnienia słońc!
Oto już wszechświat cały i gwiazdy wszystkie do tumanu mgły podobne!
Dalej! dalej! wciąż naprzód!

Sam z myślą moją!
Która pała na bezdennem niebie, jak słońce bezsenne i ogromne!
A dokąd promienie jej dojdą — pustka i bezmiar i otchłań!
Jestem sam!
W przestworzach, gdzie Bóg jeszcze nie począł dzieła stworzenia!
Ja pan!
I widzę duchem ciemności nadęte, osowiałe, czekające słowa, które wywoła z nich światy i słońca i słońca słońc!
A tymczasem są jak morza gładkie i zastygłe w ciszy!
Myśli moja! wioń wichrem i porusz bezmierną płaszczyznę mórz!
Niechaj powstają fale, niech szumią, nikną, i inne niechaj znów powstają!
A Ja nad falami, szalony i śmiejący się król fal!
Zaczynam stwarzać!
Rozłożyłem ręce i rzekłem: Chcę!
I ciemności stały się gęstsze i bardziej nadęte.
I znowu wzniosłem ręce, mówiąc:
Niechaj się stanie Piękno!
I niech się oddzieli światło od woni!
I blask i barwa od dźwięku!
A myśl moja niech będzie we wszystkiem!

I stało się, jak chciałem!
Komedja rozpoczęta!
I podnosząc palec, wyznaczałem miejsce każdemu
blaskowi, każdej barwie i woni i pieśni
każdej!
I stał się nademną świat, który był z woli mojej!
I cieszyłem się w sercu mojem!
Albowiem wszystko, co uczyniłem, pięknem mi się
zdało!
Jak dziecię, które uzbiera na łąkach snop kwiatów
i bawi się niemi, rzucając wieńce dokoła, —
tak Ja igrałem z pięknością, która była
z mego ducha
I zapragnąłem dokończyć dzieła stworzenia!
Rzekłem: uczynię człowieka, aby był szczęśliwy! — —
Człowieka?!
Jakoż go uczynię?
Azaż nie zapomniałem stworzyć gliny i prochu ziem-
nego?
Z czegóż dam mu ciało i na czem oprę jego nogi?
I obaczyłem, że w świecie ducha mego niemasz
miejsca dla ludzi!
Założyłem ręce nad głową, a świat, dźwięku pełny
i tęczowy przed chwilą, zgasł jak wypa-
lona lampa oliwna...
I uczułem, że spadam tam, skąd wyszedłem!

IX.

Wolo moja, potęgo moja, królewska moja mocy!
Gdzież jesteś?!
Oto gwiazdy, które mnie słuchały, odlatują!
Tęcze pod mojemi nogami pękają, a promienie ich barwne, rozdarte i pomieszane, nikną w mgle!
Widzę strzępy snów moich i myśli moich niebosiężnych.
Jak światło słońca, które zaszło, rozwieszone na obłokach!
Złote i czerwone, ale już niknące!...
Wolo moja, potęgo moja, królewska moja mocy! — gdzież jesteś?
Azali nie jestem ten sam, który rozkazywałem gwiazdom?
Azali nie jestem ten sam, którego chwałę głosiły wichry i gromy niebieskie!

Pod stopami memi był tron z ziemi pełnej kwiatów!
a nad głową moją strop z nieba świateł pełnego?
Azaż nie było tak?
A oto otchłań otwiera się podemną, a nademną jest czarno!
Moc moja niosła mnie przez światy!
A oto nie jest zdolna wstrzymać mię, abym nie spadał!
Grom jakiś głuchy i czarny uderzył mię w czoło
Lecę w przepaść, jak kamień strącony ze szczytu gór!
Próżno chcę skrzydła rozwinąć; piór w nich brak i są tylko szkieletem skrzydeł!
Upadam! upadam!
A tam nademną stała się błyskawica i słyszę głos, który mię zepchnął!
Głos jakoby tysiąca orkanów i piorunów ryczących!
»Wywyższon był syn prochu ziemnego!
»I dana mu była przemijająca moc — na ziemi i na niebie!
»Aliści zapomniał, że z prochu jest i w proch się obróci!
»A rzeczy poślednie gorsze będą, niż pierwsze!«
Proch! proch! proch!

NARODZINY PSYCHY.

1897.

Szerokie ujście wąwozu nad morzem. Po obu stronach skały, między któremi ukazuje się niezmierzona płaszczyzna wód. Wąwozem przepływa strumyk, na lewo czarny, głuchy, dziewiczy bór; w dali, na bladem tle nieba, śnieżne czoła szczytów. Księżyc zachodzi za skały; nad morzem szarzeje pierwszy odbłysk zorzy porannej.

NAJADA

Dzień się robi, świta już!
Siostry, siostry, wstać już czas,
czas zaszumieć srebrem fal,
co spienione lecą w dal,
ze skał stoków w ciemny las,
z lasu dalej w głębie mórz!

CHÓR NAJAD

Kto nas budzi, kto nas woła?
wszakże ciemna noc dokoła —
jeszcze nie czas, nie czas wstać!
Świat oddycha jeszcze ciszą,

mgły potoków szmery tłumią;
więc niech fale słodko szumią,
niech nas jeszcze w sen kołyszą —
jeszcze chcemy spać, o! spać...

NAJADA

Wstańcie, wstańcie! dzień już świta!
Patrzcie, w dali ponad morza
już poranna wstaje zorza, —
jak kwiat srebrny dnia — rozkwita!

CHÓR DRYJAD

Kłamie, kłamie!
to miesiąca
blask się łamie,
wodę trąca
i jak zorza
lśni nad morza!
Kłamie, kłamie, —
to miesiąca
blask się łamie,
wodę trąca!

CHÓR NAPOWIETRZNY I DALEKI

Dzień się zbliża!

JEDNA Z CHÓRU NAJAD

Łzy otrząsam z rzęs perłowe,
wznoszę oczy, wznoszę głowę:
gdzież jest zorza, gdzie blask ten?
Ciemno, głucho, — bór szeleści,
strumyk pierś mą pieści, pieści —
ach! tak słodki, słodki sen...

NAJADA

Wstańcie! jasność widzę dzienną!

CHÓR NAJAD

Nam tak senno, senno, senno...

CHÓR DRYJAD

Cień pokrywa lasy, debrze,
ponury, —
w księżycowem bladem srebrze
lśnią góry!
wiatr przez puszczę z świstem leci
tajemną;
dzień daleki — nic nie świeci —
w krąg ciemno!

DRYJADA

Dalej, siostry! czarne kosy
na wiatr rzućmy, — między włosy

księżyc wplecie nam promienie,
srebrne utka nam odzienie —
a wiatr zagra i zaśpiewa,
wtór mu dadzą wszystkie drzewa
szumiące!

CHÓR DRYJAD

Póki gwiazdy lśnią w błękicie,
dla nas życie, dla nas życie!

CHÓR NAPOWIETRZNY

O, słońce!

DRYJADA

Patrzcie, patrzcie! sarna chyża
między dęby błysła, za nią,
za ściganą szybką łanią
pędzi nocnych puszcz dziewica,
pani cieniów i księżyca, —
z burzą dziew swych k'nam się zbliża
Artemis-Selene!

CHÓR DRYJAD

Jeszcze noc! jeszcze noc!

DRYJADA

Patrzcie, patrzcie, księżyc błyszczy
nad jej czołem w sierp wygięty,

chmurą włosów przesłonięty, —
w ręku oszczep warczy, świszczy;
krew po ostrzu ścieka świeża
uszczutego z boru zwierza! —
Artemis-Selene!

CHÓR DRYJAD

Jeszcze noc! jeszcze noc!

CHÓR NAJAD

Siostry, siostry, — chyżo w toń!
oto leci, jak wichura,
krwi i nocnych cieniów córa:
chrońmy przed nią białą skroń!

ORSZAK ARTEMIDY

Ho ho! ho ho! — krew i noc!

JEDNA Z CHÓRU NAJAD

O! słyszycie hasło owe!
O! wnet fale kryształowe
zrumienione krwią popłyną
i tam w morską wodę siną
sączyć będą krew, o! krew...

Znikają w wodzie.

CHÓR DRYJAD

Witaj, pani naszych drzew!

ARTEMIS *wpada ze swym orszakiem.*

Dalej, chyżo, dziewy moje!
dalej w gon! dalej w gon!
grot niech świszczy, łuk niech warczy;
póki nocy, zwierza starczy
zbieraj plon, zbieraj plon!
Dalej, naprzód, dziewy moje!

ORSZAK ARTEMIDY

Idziem za tobą, wielka Artemi!
pędzim za tobą, burz czarnych siostry, —
a w ręku naszych oszczep lśni ostry —
hej! noc na niebie, a krew na ziemi!

CHÓR NAJAD *w wodzie.*

O jak strasznie! jak boleśnie!

CHÓR NAPOWIETRZNY

Pierzchną cienie, jasność wskrześnie!

ARTEMIS

Wszystkiem rządzi moja ręka,
niezwalczona moja moc;
cały świat przedemną klęka:
wieczna walka, krew i noc!

DALEKI CHÓR OKEANID

Tam w parowach jeszcze ciemno,
tam na ziemi walka jeszcze, —
lecz po modrych wód płaszczyźnie
wnet się złoty blask prześliźnie;
jakieś rzeźwe, świeże dreszcze
już wstrząsają głąb' tajemną,
już przeczucie dnia się rodzi —
zorza wschodzi, zorza wschodzi!

ARTEMIS

Sierp księżyca nad mą skronią
srebrny blask rozsiewa w koło!
Hejże dziewy i fauny,
napinajcie cięciw struny;
niechaj zabrzmi śpiew wesoło,
niech ogary zwierza gonią
i wściekłemi szarpią zęby —
a wy echem grajcie, dęby!

ORSZAK ARTEMIDY

Zwierz się zrywa, ptak się zrywa,
warczy oszczep, drży cięciwa!
Dalej naprzód, dalej za nią,
za księżyca krwawą panią!

CHÓR OKEANID

Już promienna wstaje jutrznia
i zwierciedli się na fali;
Eos wstaje, błyska, leci, —
gwiazdy gasną, — blask się nieci
coraz szerzej, coraz dalej...
Wnet złocista słońca włócznia
w niebo strzeli, — przybądź, panie!
przybądź w jasnym swym rydwanie,
O, Fojbos-Apollo!

ORSZAK ARTEMIDY

Co to? co to? tam na wschodzie
jakiś odblask drży na wodzie!

CHÓR NAPOWIETRZNY.

O, Fojbos-Apollo!

ORSZAK ARTEMIDY.

Blask w źrenice nam uderza;
już nie widzim psów ni zwierza!

CHÓR NAJAD

O, Fojbos-Apollo!

CHÓR DUCHÓW GÓRSKICH

Błyszczy świat!
słońca bóg
już z morskiego wstaje łoża!

ARTEMIS

Ha! — to brat
mój i wróg! —

ORSZAK ARTEMIDY

Jasność chyża
mknie po niebie, mknie nad morza!
chroń nas, pani!...

CHÓR NAPOWIETRZNY

Dzień się zbliża!

CHOR NAJAD

Zorza! zorza! zorza! zorza!

CHÓR PTASZĄT

Już świta! już świta! już świta!
Podlećmy nad dęby, nad sosny,
a hymn nasz świąteczny, radosny
niech zorzę wschodzącą powita!

DALSZY CHÓR PTASZĄT

Już świta!

ARTEMIS

Księżyc blednie nad mem czołem,
cień, jak mgła, ucieka dołem!

CHÓR DRYJAD

Do nas, pani! do nas, pani!
pod liściaste puszcz sklepienie;
tu noc wieczna, wieczne cienie,
tu blask słońca cię nie zrani!
Stare dęby ci zaszumią
i blask dzienny liściem stłumią —
a w noc wieczną, głuchą, czarną,
tylko księżyc z nad twych skroni
będzie kładł na pniaków stosy,
na paprocie, mchy i wrzosy
białe róże, gdy w pogoni
za jeleniem albo sarną
pod liściastym gęstym sklepem
błyśniesz czołem i oszczepem!

ORSZAK ARTEMIDY

Światło! światło! — dalej w puszcze,
niech nas czarne skryją kuszcze!

Wpadają w bór.

NAJADA *wychyla się z wody.*

Ha! z tententem i hałasem
wpadł już w puszczę orszak krwawy,
wpadł i ginie; echa głuchną;
między drzewa tylko czasem

sierp miesięczny, niby próchno,
błyśnie srebrny i bladawy,
i już gaśnie; gwiazdy gasną;
zorza wstaje — jasno! jasno!

DALEKI CHÓR ORSZAKU ARTEMIDY

Blask nas razi, blask nas goni;
głębiej, głębiej w puszcz pomroki!
niech bór gęsty, bór wysoki
czarnym cieniem nas osłoni!

CHÓR NAJAD

Już zorza się pali,
drży złotem na fali —,
zabłyśnij, o słońce na niebie! —
W strumyka krysztale,
w wód strojne opale
tęsknimy, tęsknimy do ciebie,
o, Fojbos-Apollo!

CHÓR DRYJAD

Siostry, czas się w drzewach kryć, —
jak mgły nocne, cicho gińmy,
w gąszcz i w puszczę czarną wpłyńmy
w głuchym szumie dębów śnić! *Nikną.*

CHÓR PTASZĄT

Pierzcha, pierzcha nocny cień!
jasno wszędzie i srebrzyście —
drżą w porannem świetle liście,
dzień! dzień!

DRUGI CHÓR

Świt! Świt!

TRZECI

Cicho! cyt!

CHÓR DRYJAD *głuchy i niewidzialny*

Idzie, idzie światła wróg
nieugięty, dziki, groźny
król puszcz ciemnych, gór i smug!

CHÓR NAJAD

Powiew jakiś wionął mroźny!

CHÓR DRYJAD GŁUCHY

Już się zbliża
straszny czciciel Artemidy!
Patrz, na drzewcu jego dzidy
wisi martwa łania chyża,
krew z pod skrzepłych sącząc powiek, —

a na barkach jego skóra
zwalonego w puszczy tura!

CHÓR NAPOWIETRZNY

Idzie człowiek!

NAJADA

Chór ptaszęcy nagle zcicha,
milknie ziemia rozpieśniona,
i znów głuszą świat oddycha;
nikną jasne duchów grona,
skrzydłem lecąc w dal motyla —
ha! z ostępu, z borów cienia
jakaś postać się wychyla —
ha! to Człowiek! *Niknie we wodzie.*

CHÓR NAPOWIETRZNY

Pan stworzenia!

CZŁOWIEK *rzuca ubitą łanię na ziemię.*

Dnieje — już dnieje, i walka skończona.
Łup mam obfity: łanię-m ubił wielką. —
Dzięki ci, nocy, moja karmicielko!
ty mi jeść dajesz, krzepisz me ramiona,
przez które władam śród ziemskich rubieży!

CHÓR NAPOWIETRZNY

Nie w rąk ścięgnach moc twa leży!
Ona jeszcze śpi w twem łonie,
śpi, jak dziecię, — lecz zbudzona
z czasem cały świat pokona —
a świat w blasku jej rozpłonie,
tęczą w akord się ułoży,
głos z niej biorąc i strój boży!

CZŁOWIEK

Dzień już! Niedźwiedzie i wilki, puszcz sępy,
przed blaskiem w czarne kryją się ostępy —
i mnie czas wytchnąć, czas zażyć spokoju,
nowych sił nabrać do nowego boju!
Gdy ziemię wokół nocny cień zalegnie,
ja jestem panem! Jęczy puszcza głucha
echem walk moich — a wilk z drżeniem słucha,
czy mu gdzie człowiek drogi nie zabiegnie
i z paszczy krwawej nie wydrze zdobyczy!
Ryś się tak chytrze, jako ja, nie skrada,
orzeł na zdobycz tak szybko nie spada,
zraniony bawół tak strasznie nie ryczy,
jak ja! król lasów! Jestem bardzo silny!
zwalczyłem łosia, niedźwiedzia i dzika;
pierzchliwy jeleń daremnie umyka,
gdy go mój pocisk ściga nieomylny;

darmo w ostępie schwytany za rogi
wydrzeć z rąk moich tur się stara srogi!

CHÓR DUCHÓW GÓRSKICH

Złote djademy na śnieżne skronie
słońce nam kładzie, w blasków powodzi
na pierś dziewiczą rzuca nam róże!
Czoła nam błyszczą, pierś nasza płonie;
promienna zorza lśniąca w lazurze
drugą na bieli łon naszych rodzi!
My z góry patrzym za świata końce!
my pierwsze widzim poranne słońce!
O, Fojbos-Apollo!

CZŁOWIEK

Jakiś szum dziwny przeleciał błękitem!
Inaczej w nocy szumią czarne knieje,
gdy wiatr poruszy drzew wyniosłych szczytem!
O! blask się krwawy na gór czoła leje,
niebo się pali w krąg ogromną łuną —
a mgły spadają, parowami suną,
płyną jak rzeka, na bór idą głuchy
i drzewa w białe odziewają puchy...

CHÓR DRYJAD

Z czarnych jaskiń, z głuchych jarów,
gdzie noc wieczna

bezsłoneczna
mrokiem senny kryje parów,
przez wąwozy, przez przepaście
z mgłą się zlewa
cień na drzewa, —
pójdźcie mgły i światło zgaście!

CHÓR OKEANID DALEKI

Jasna tęcza lśni tam w górze,
jasna tęcza skrzy na fali;
zorza wstaje, tonie muska —
w perłach, złocie i w purpurze
fal mieniąca lśni się łuska;
morze płonie, świat się pali,
lśnią gór szczyty, lśnią błękity,
wszędzie ognie, blaski, świty —
O, Fojbos-Apollo!

CZŁOWIEK

We mgle spowite głucho jękły puszcze,
a tam — o morskie piaszczyste wybrzeża
fala kołysząc się, lekko uderza,
po muszlach dzwoni, szeleści i pluszcze,
zda się, coś mówi i płacze i śpiewa, —
ogniem odbitej zorzy brzeg zalewa,
i znów się wraca, odłamki korali
miecąc za sobą — a niebo bezbrzeżne

coraz się szerzej jasną zorzą pali,
coraz złociściej lśnią gór czoła śnieżne...
Świat tak ogromny, a tak pełen gwarów
niezrozumiałych, a zewsząd w me ucho
bijących, pełen niepojętych czarów —
i tylko puszcze jęczą ciągle głucho,
kłócąc się z światem... Co to wszystko znaczy?
ten gwar, te blaski? — W głębi puszcz inaczej!

CHÓR NAPOWIETRZNY

Jeszcześ głuchy na głos świata,
jeszcze twoja myśl nie wzlata
ani serce się nie korzy
na piękności widok bożej;
ale już się zbliża chwila —,
dziecię światła i piękności,
od poranku i motyla
więcej lotne, słodkie, ciche
w świat uleci z twych wnętrzności —
o, Psyche!

CZŁOWIEK

Wszak mocny jestem, — więc czemuż, gdy oczy
do puszcz cienistej przywykłe pomroczy
zwrócę w ten ogrom świata, na te góry
śnieżne, i wyżej, na niebios lazury,
z morzem się kędyś zlewające w jedno

w bezkreśnej dali, — tęsknotą bezwiedną
pierś mi się wzdyma i drżą mi kolana
i zwisa ręka, co strach siała w boru?...
Świat tak ogromny — zorza tak świetlana —
a ja tak mały śród świata przestworu...
Pierś moja czegoś czeka, czegoś słucha,
braknie jej czegoś...

CHÓR NAPOWIETRZNY.

Wskrześ ducha!

CHÓR DRYJAD

O! nie patrz w nieba!
Nocy ci trzeba,
w nocy ty panem
nad ziemskim łanem!
noc — twoje życie!
Zorza w błękicie
oczy twe ślepi:
tu w puszczach lepiej —
pójdź!

CZŁOWIEK

Dziwnie mi szumią te lasy dokoła,
coś woła, zda się, w głąb borów mnie woła...
Straszno mi! Straszno? dzisiaj niedźwiedź szary
na pierś mi skoczył, a jam się nie lękał,

lecz z puszcz mocarzem wziąłem się za bary;
cisnął mnie długo — aż wreszcie zastękał
i legł podemną! Ot — trup łani świeży:
jeleń olbrzymi rannej broniąc łani
gałęzią rogów zmierzył w piersi moje
i biegł, chrapliwy ryk rzucając z krtani —
a jam się nie zląkł! i łania tu leży.
Ta łania... pomnę: małych koźląt dwoje
nad trupem matki beczało żałośnie.
Z tych koźląt dwojga żadne nie dorośnie,
zginą bez matki...

CHÓR DRYJAD

Bój jest wieczny, — zawsze, wszędzie
przed mocniejszym słabszy pada;
zwyciężonym biada, biada!
było tak i jest i będzie...

CZŁOWIEK

Ja byłem głodny — a tak smaczne mięso...
ja byłem silny — silniejszy jak jeleń... *Zamyśla się.*

CHÓR NAJAD NIEŚMIAŁY

Dziki człowiek zwiesił dłonie
krwią ociekłe i w dal patrzy — —
a mgły tuman coraz rzadszy,
niebo coraz jaśniej płonie!

CZŁOWIEK

Biedne koźlęta... W krwią zroszoną zieleń
skryte tak drżały... Co to? pod mą rzęsą
coś wilgotnego?! — Przeszyta oszczepem
łania na dzieci pojrzała ze łzami;
padła, widziałem, krwią już wrzosy plami,
już martwa — patrzy jeszcze okiem ślepem
na dzieci...

NAJADA *w wodzie.*

Co to? patrzcie! dziki człowiek,
postrach świata, skłonił głowę,
na pierś skłonił — a perłowe
łzy mu płyną dwie z pod powiek.

CHÓR PTASZĄT

Dziw! dziw!

CHÓR NAJAD.

Dziw! — u ludzi!

CHÓR NAPOWIETRZNY

O, ciesz się ziemio! już się Psyche budzi!

CZŁOWIEK

Znowu ptaszęce chóry się ozwały —
i bór, co w nocy ryki tylko słyszy,

zionie walk echem i jękami dyszy,
teraz dźwięczący, rozśpiewany cały.
Mgła sunie dołem przez mchy i paprocie,
lecz drzew już szczyty lśnią w porannem złocie
i od świeżego listki drżą powiewu —
tak pełne ptasząt, radości i śpiewu!
Czyż to te same czarne, głuche knieje,
kędym ja w nocy śmierć i postrach szerzył,
dusił niedźwiedzie, z turami się mierzył?
Ja! władca puszczy? — Co się ze mną dzieje!

CHÓR NAPOWIETRZNY

Ponad ziemią słońce wschodzi;
drugie — w piersiach twych się rodzi!

CZŁOWIEK

Świat mi się dzisiaj tak innym wydaje,
jakbym raz pierwszy widział niebios stropy,
morza i góry i szumiące gaje
i kwiatów rosą operlone snopy;
i wszystko, dokąd tylko wzrok mój dotrze,
zda się jaśniejsze i świeższe i młodsze — —
a tam — w mej piersi coś stuka, pierś targa,
coś się w niej rodzi i coś kona razem;
skronie mi płoną — a rozwarta warga
niezasłyszanym jakimś drży wyrazem...

CHÓR NAPOWIETRZNY

Błyśnij nim! cała przyroda go czeka!
On bogom równym uczyni człowieka!

CZŁOWIEK

I ja dziś inny na tym innym świecie:
mocniejszy jakiś i wyższy — a przecie
chciałbym coś ściskać, coś tulić w ramiona
i przed czemś na twarz upadać w pokorze...

Słońce wschodzi.

Aa! płomienne rozprysło się zorze, —
kula słoneczna olbrzymia, czerwona,
tęcze przed sobą w niebo śląc, jak gońce,
wybuchła z morza! o! o! o! *Zakrywa oczy.*

CHÓR NAPOWIETRZNY

O, słońce!

CHÓR DUCHÓW GÓRSKICH

O witaj, słońce! witaj dawco życia!
Niebo i ziemia i woda cię wita!
ptactwo z leśnego wylata ukrycia
i kwiat schylony pod rosą rozkwita,
strumyk srebrzysty w wąwozach szeleści,
łagodny wietrzyk z drzewami się pieści
i świeże wonie leśnych kwiatów niesie

i ptasząt szmery i śpiewy strumyka —
i brzmi dla ciebie, o słońce! muzyka
na łanach, w niebie, po wodach i w lesie!

CHÓR NAPOWIETRZNY

O Panie! z hymnem tym pochwalnym świata,
spraw, niech się zgodny głos człowieczy zbrata!

CHÓR OKEANID

O witaj, słońce! codzień wstajesz jasne,
płyniesz nad ziemią po szerokiem niebie,
ozłacasz łany i w parowy ciasne
patrzysz, gdzie cień się w sennych mgłach kolebie,
muskasz drzew listki, ptaki budzisz śpiewne,
rozbudzasz kwiaty, opromieniasz morze,
kędy się wiatry kołyszą powiewne
i twoje święte zwierciedli się zorze!

CHÓR NAPOWIETRZNY

O Panie! spojrzyj w głąb człeczego łona;
tam dusza tęskni w cieniach uwięziona!

CHÓR NAJAD

O witaj, słońce! jasne i promienne!
przed tobą cienie uciekają senne,
nad tobą tęcza leci po błękicie,

pod tobą pędzi blask przez świat i morza —
o! pochwalone bądź w światła rozkwicie,
chwała ci, chwała, o władco przestworza!

CHÓR NAPOWIETRZNY

O Panie! światło, gdzie spojrzysz, wybucha;
spojrzyj w pierś człeka, wskrześ z niej światłem
ducha!

CHÓR CAŁEJ PRZYRODY

Błysło słońce na błękicie;
radość! światło! życie!

CZŁOWIEK *wyciąga ręce.*

Życie!

CHÓR CAŁEJ PRZYRODY

W słońcu płonie ziemia cała;
panu niebios chwała!

CZŁOWIEK *pada na kolana.*

Chwała!
O! tyś jest mocarz; ty władca na niebie;
ty król! ty światło! życie! wielbię ciebie!
Ja, com się nie zgiął przed wichrem ni burzą,
ja, com swe barki skórą odział turzą

na znak potęgi, jak stworzenie liche —
cześć ci oddając — przed tobą uklęknę:
o słońce! jesteś... jesteś... jesteś... p i ę k n e!

Pada twarzą na ziemię.

CHÓR NAPOWIETRZNY

Psyche!

CHÓR NAJAD

Dreszcz przeleciał świat poranny;
woń się szerzy i dźwięk szklanny!

NAJADA

Nad schylonym — patrzcie! błyska
jakieś światło, — tęcz obręcze
i przejrzyste mgły pajęcze
w przecudnego kształt zjawiska
już się wiążą — — z mgieł przeźrocza
postać rodzi się urocza!

CHÓR NAPOWIETRZNY

O! witaj, światła i piękności dziecię!
o! witaj Psyche! Ciesz się, ciesz się, świecie!

NAJADA

Jasność błyszczy w krąg jej skroni,
z lilij tkana, srebrno-blada —

a przejrzysta mgła opada
i spadając dzwoni, dzwoni...
Dźwięczy, pachnie mgła srebrzysta,
lgnie do kwiatów, lgnie do ziemi,
a ponad nią motylemi
skrzydełkami — jasna, czysta,
słodka, cicha — w takt porusza
narodzona światu Dusza!

CHÓR NAJAD

W słońce białe ręce wznosi
i rozgląda się dokoła, —
a wiatry je pieszczą ciche,
kwiaty przed nią chylą czoła,
ptasząt chór jej piękność głosi!

PSYCHE

O! o!...

CHÓR NAPOWIETRZNY

Cicho, świecie! mówi Psyche!

PSYCHE

Jaki świat piękny! jakie jasne nieba!...

CHÓR NAJAD

Pójdź, najpiękniejsza! — Patrz, jak lśnią tu kwiaty

w perłach strumienia, — zamieszkaj z kwiatami
w nadbrzeżnej fali, tu z nami, tu z nami!

PSYCHE

Nie, nie! Mnie w górę, w górę lecieć trzeba...

CHÓR DUCHÓW GÓRSKICH

Więc do nas, Psyche! Stąd w dale na światy
będziesz się patrzyć, na słoneczne wschody.
na ziemię całą, na bezbrzeżne wody...

PSYCHE

Szerszy gdzieś przestwór nęci mnie i woła...

CHÓR OKEANID

Na morską falę, na bezkreśne tonie
pójdź pływać z wiatrem w jasnych gwiazd koronie,
co lśnić ci będa u białego czoła —!

PSYCHE

O! wszystko tutaj tak piękne i słodkie,
ale mnie wyżej trzeba, w jasne słońce
nad wszystkie kresy i nad wszystkie końce —
a skrzydła moje tak nikłe, tak wiotkie...

CHÓR NAPOWIETRZNY

Tęsknisz, już tęsknisz — ledwo narodzona!

tęsknisz, choć ziemia tak piękna dla ciebie;
tęsknisz i słońca szukasz tam na niebie;
tęsknisz i płaczesz, że twoje ramiona,
w motyle skrzydła ubrane, nie wzniosą
ciebie nad łany kwietne, lśniące rosą —
o dziecię!
O, czekaj, Psyche, blasku córo słodka,
oto ci niebo swoją wolę wieści:
wiele przejść musisz tęsknót i boleści,
aż cię nareszcie święty Eros spotka
i skrzydeł swoich potężnych użyczy,
i w świat uniesie bogów tajemniczy —
o dziecię!

LOTOS.

1894—1898.

STANISŁAWOWI PRZYBYSZEWSKIEMU.

Tobie, druhu serdeczny, dumny i smutny poszukiwaczu niezniszczalnych cudów — poemat ten ofiaruję, jako dań przyjacielską, jako pamiątkę spotkania naszego nad otchłannem i bezdennem źródłem Duszy człowieczej...

Na schyłku starożytnych czasów poznała dusza ludzka, że jest od ciała różna i własną moc posiada. Niezmącona pogoda grecka zniknęła bezpowrotnie, a ciemną otchłań wieków średnich wypełnia walka tych dwóch przeciwstawionych sobie potęg, walka namiętna, zajadła, rozpaczliwa. Dusza, jak ogromny ptak uwięziony, rzuca się w żelaznej klatce i wciąż na nowo opada — z połamanemi skrzydły i pokrwawionem czołem. Poznała niespożytą trwałość swego więzienia i nauczyła się je szanować. Zaczęły się wieki nowożytne, czas kroków powolnych i dobrze obliczonych, okres badania i poznawania klatki, którą dziś zwykle (może przez ironję?) »światem rzeczywistym« nazywamy. Dusza poznała grubość i skład murów swego więzienia i już się na dawne, nierozumnie wielkie porywy nie waży, choć czuje, może silniej niż kiedykolwiek, że poza temi ścianami jest przestrzeń, jest błękit jej rodzinny i są szczyty olbrzymie, ponad którymi unosić by się mogła...

A my? Wszak my wszyscy jesteśmy tylko piórami w olbrzymiem skrzydle powszechnej duszy człowieczej i drżymy, gdy ono

wiatr bije; w prochu i żwirze rozkrwawiamy skronie, gdy opuszczone i bezwładne po ziemi się wlecze. I tęsknimy, tęsknimy bez końca za tym nierzeczywistym światem, który jest od wszystkich rzeczywistych — rzeczywistszy...

Pióra drżą znowu w skrzydłach ptaka; nie wiem, czy to on znów do lotu się zrywa, czy też wiatr jaki tylko musnął go po pierzu i lotki niektóre dreszczem przejmuje... Ale drżą...

Idziemy nad święty Ganges, wyciągamy wychudłe, od kajdan drżące ręce więźnia przez kratę naszego ciała, twórczem »Stań się!« zaklinamy naszą tęsknotę, »prawdę jej ducha ubieramy cieniem szaty cielesnej« i — wiedząc, że jest wieczna, zabijamy ją dotknięciem dłoni, do których reszta ciała, jak rzecz lepka, przywarła. A potem?... O! jakże dobrze, niestety! wszyscy wiemy, co jest potem!

Spotkaliśmy się nad świętym Gangesem! Dużo nas tu jest, dużo... rzesze całe, rzesze blade i tęskniące i smutne. Nie nawoływaliśmy się, nie prowadziliśmy się nawzajem, a jednak zeszliśmy się, bo ten sam wiatr niebieski dął z tyłu w szaty nasze, ta sama gwiazda betlejemska przykuwała oczy i wiodła kroki nasze...

Stoją mi przed oczyma potężne postacie, któreś Ty stworzył. Chodzą po falach z wiatrem, a mają skrzydła z płomienia i ręce wyciągnięte tak, jak Bóg je miał w chwili, gdy świat stwarzał... A patrz! między niemi kołysze się nieruchomy tajemniczy, biały kwiat lotosu...

Chciałbym, aby ten kwiat przypomniał Ci mnie wtedy, gdy życie nas już rozdzieli. Bo wiem, że tak będzie...

J. Ż.

W Krakowie, d. 8. marca 1899.

Pieśniarz, pieśń śpiewający, śpiewa:

*
* *

Niechaj pieśń moja tak cicho się leje,
jako Gangesu lazurowe wody,
a tak gorącym niech oddechem wieje,
jak wicher, który Himalajów lody
kaskadą rzuca w świętych rzek łożyska!
O! mam ja jeszcze na mej harfie strunę,
co niewygasłym dotąd ogniem błyska,
a gdy z pieszczotą po niej dłoń przesunę,
to mówi, płacze i śpiewa i kwili,
i przypomina mi ojczyznę moją,
ojczyznę kwiatów i gwiazd i motyli,
gdzie nad rzekami smukłe palmy stoją,
a ponad palmy błyszczą świątyń szczyty,
a jasne słońce wstaje nad świątynie,
a ponad słońcem wiszą nieb błękity,
a po błękitach oddech Brahmy płynie!

O Brahmo wielki, rodzicielu-boże,
początku życia i nirwany panie!
pozwól, nim kości w grób niewłasny złożę,
duszę na nowe znów gdzieś dając trwanie —
jeszcze raz zagrać na harfie z koralu
i dźwięk ostatni, co z pieśni pogromu
ocalał, rozlać w rzekę łez i żalu
na cudzej ziemi — ach! — i w cudzym domu!
Otom ja książę Benarskiej dzierżawy —
jak żebrak dzisiaj pokorny i lichy...
Otom ja pieśniarz nieśmiertelnej sławy —
śród ludzi obcych — ja grób — taki cichy...
Otom przepłynął oceany modre,
otom jest tułacz gnany w świat tęsknotą,
lecz — nędzarz — usta mam pieśniami szczodre
i mam tę harfę perłową i złotą,
i mam posłuszne jasne błyskawice
i wspomnień skarby i kindżał przy boku —
jenom zeń śmierci zgubił tajemnicę,
i tylko łez już nie mam w suchem oku!

A oto pieśń:

I.

Kołysz się, pieśni, jak palmy nadwodne,
świeć mi, jak nocne po lasach świetliki,
szerz się, jak niebo nad Hindją pogodne!

A cicho! cicho... niechaj bólów krzyki
głośniejszem echem na strunach nie jękną,
by snadź się znowu duch nie zbudził dziki

i jak rumaki, co się gromu zlękną,
nie uniósł, krwawe skruszywszy wędzidła
i wzniósłszy w górę głowę szałem piękną!

O cicho! cicho... Duch mój złożył skrzydła
i śpi, jak orzeł, na skalistym szczycie —
i jeno wspomnień wpółsenne mamidła,

jak lekkie chmurki na niebios błękicie,
płyną i lecą przed uśpionym ptakiem,
unosząc z sobą w dal bezkresną — życie!

O, pieśni moja! leć-że za tym szlakiem
ginącym cicho w mglistym nieboskłonie,
wstrzymaj go, zaklnij dawnej mocy znakiem,

niechaj raz jeszcze me płonące skronie
owieje tchnieniem minionego czaru:
niechaj znów czuję lotosowe wonie,

widzę znów fale złote od pożaru
miesięcznych ogni, — niech gwiaździste róże
znów na me włosy lecą z nieb bezmiaru,

niechaj znów słyszę dawnej pieśni burzę,
której skrzydłami niesiony po toni
szedłem w królewskiej pieśniarza purpurze

po sen, po szczęście, ból a śmierć... Pieśń dzwoni...

II.

Ojczyzno moja, ziemio moja święta,
od gór podniebnych do morza przeźroczy,
jak ogród kwiatów przewonny, rozpięta!

Przymykam senne od łez dawnych oczy:
znowu mi płacze twoich puszcz muzyka,
znowu cię widzę, kraju mój uroczy!

Oto jest Ganges, modrych wód władyka!
Słońce, bóg świata, jasny obraz Brahmy,
na śnieżnych szczytach kładzie się i znika...

Prześwieca jeszcze przez lodów odłamy
i krwawo barwi Gangesowe łono,
rzucając złote srebrnej wodzie tamy.

Szczyty dalekich świątyń w mgłach już toną,
a skróś wpółsennej hindyjskiej krainy
wiewy przewonne gdzieś od morza wioną...

Oto wieczorne rozkoszne godziny!
Noc w swe objęcia świat miłośnie garnie
a sierp księżyca z za wód wschodzi siny...

Za wszystkie dzienne trudy i męczarnie
chwilę spoczynku teraz świat mieć będzie:
nad senną ziemią niebieskie latarnie

już rozbłyskają — cisza, błogość wszędzie...

III.

Lotos na wodzie drży i sieje wonie;
liście igrają z falami lubieżne,
a kwiat, jak oko, patrzy w niebios tonie

złotych gwiazd pełne, tajne i bezbrzeżne.
Cisza — i tylko fala z kwiatem gada,
nad którym taniec ćmy zawodzą śnieżne.

W ciszy tej słychać, jak liść suchy spada
z wysmukłej palmy lub zielonej figi,
słychać, jak wąż się cicho w trawie skrada

ku gniazdu pawia. Powojów łodygi
drgnęły i drzewa z nocnych wiatrów wiewem
w świetle gwiazd mówią coś z sobą na migi.

O czem rozmawia leśne drzewo z drzewem?
Czy o księżycu, który właśnie wschodzi
srebrny nad wody srebrzystej rozlewem

i jakieś widma, jakieś czary rodzi,
ławy perłowe przez głębie im ciska
z powodzi fal ku lotosów powodzi?

Po mgławej tęczy, co jak opal błyska,
księżyc ku kwiatom przyszedł i oblicze
nasyca wonią, co z ich łona tryska.

Księżyc miłośnie pieści te dziewicze
kwiaty i pewnie w noc im cichą wyzna
rzeczy nadziemskie, dziwne, tajemnicze,

którym jest w niebie miejsce i ojczyzna...

IV.

Hej! któż z was zbadał głębiny Gangesu,
kto wie, co zapach kwiatów w sobie chowa?
Kto wie, co znaczy to niebo bez kresu

i gwiazd ulewa na niem brylantowa?...
Nocą nad Hindją ponad wonne kwiaty
płynie prastarych puszcz cicha rozmowa,

płynie szeroka, a wiatr ją skrzydlaty
niesie nad morskie, wtór grające fale
i dalej, dalej, gdzieś w zamorskie światy...

Kto wie, co znaczą te echowe żale,
głos-li to skargi, pieśni czy pacierzy?
Lecą — a kto wie, gdzie, na jakiej skale

usną, gdy wiatr je znużony odbieży?...

V.

Tajemny Ganges, gwiazdy tajemnicze,
tajemne morza szumiącego słowa,
lecz nadewszystko tajne jest oblicze

duszy, co w głębi ludzkich łon się chowa!
Kto wie, co znaczą jej dziwne pragnienia,
w których się ona, jak kibić palmowa

w wietrze, nagina, śród płaczu i drżenia
włosem rozwianym muskająca kwiaty
i znów wznosząca skroń w niebios sklepienia?

I kto jej każe wylatać za światy,
kto w niej tęsknoty budzi tajemnicze?
Gdzie ona była, nim ją Maja w szaty

ciała z igraszki spowiła zwodnicze,
złudne, jak wszystko i w życie wysłała,
gdzie jedną prawdą — cierpienia gorycze?

Ach! smętek wieczny na dnie duszy pała;
ciało, jak łódka, niesie go po morzu
życia; — a kiedy jaka straszna skała

rozporze łódkę kruchą na bezdrożu
wodnem, — co wtedy? — i czy dusza smętna
uleci z Brahmą złączyć się w przestworzu,

wolna, zbawiona, tęsknót niepamiętna,
śród wiecznych zadum i wiecznego miru,
czy ją znów inna fala chwyci mętna,

by się kręciła znów śród pian i wiru?

VI.

Tak mędrcy prawią, że tej duszy treścią
wieczne pragnienie; pragnienia wynikiem
życie, a życie jedną jest boleścią!

I ani zdoła dusza modlitw krzykiem
ulżyć cierpieniom, ani wiedza żadna
da jej zbawienie... Dopóki płomykiem

pragnień się pali, póty Maja zdradna
w sidła ją swoje osnuwa i mota,
a ona cierpieć musi — tak bezradna!

I chociaż jedno ogniwo żywota
pryśnie, to dusza wnet w drugie przechodzi —
i nowe życie i nowa tęsknota,

gorsze cierpienie, gorszy ból się rodzi...
Więc by zbawienie na tym łez padole
znaleść i wyjście z złudnych mar powodzi,

trzeba kamieniem stać się, zabić wolę,
a wtedy dusza w nicość się rozpływa,
bo z bólem życie, z wolą giną bole!...

A cóż, gdy dusza będzie tak szczęśliwa,
gdy się upoi jakim wielkim szałem,
gdy się w niej żadne z pragnień nie odzywa,

kiedy się wszystkie sny okryją ciałem
i nic już niema na niebie ni ziemi,
czego by mogła chcieć, bo jej udziałem

szczęście najwyższe, — gdy się w niej oniemi
wola, przyczyna życia i boleści:
czy byt stargawszy rękoma własnemi,

własnej odwiecznej zaparłszy się treści
utonie wtedy w odmętach nirwany,
kędy bezwolne duchy spokój pieści?...

We łzach, cierpieniu, życiem skołatany
dziwię się, czemum jeszcze dotąd żywy,
dlaczegom w wieczność jeszcze nie porwany:

wszak nieskończenie byłem już szczęśliwy!

VII.

A teraz — darmo! Teraz żyć mi trzeba,
bo już nie wyrwę z serca tej tęsknoty,
co straconego znowu pragnie nieba

i chce znów zakląć ów raj szczęścia złoty...
I z tem pragnieniem w ziemi obcych ludzi
zrzucę to ciało wyschłe od zgryzoty,

a dusza znów się w innem życiu zbudzi
i nowe starych cierpień weźmie pęta,
ta córa boża znów się ciałem zbrudzi

bez win najstraszniej — bo życiem — przeklęta!

VIII.

Stałem nad wodą z złotą harfą w ręku
i pieśń śpiewałem, ach! — któż ją spamięta!
— więcej w tej pieśni było tęcz, niż dźwięku..

Do wtóru grała puszcz melodja święta,
tak tajemnicza i taka gorąca,
że pieśń leciała głosem puszcz zaklęta,

cicha, natchniona, wpółsenna i drżąca,
a jam nie wiedział, czy grają me dłonie,
czy gra na strunach srebrny blask miesiąca,

co po mej harfie taki jasny płonie,
kaskadą leci przez struny, jak rzeka,
pieśń ciągnąc z sobą gdzieś w wieczności tonie.

I czułem, że się ma dusza obleka
w mgłę i we wieńce jakichś wonnych liści;
czułem, że szczęście mię bez granic czeka,

że cud się jakiś w noc tę cichą ziści,
lub myśl zbłąkana w czarnych nieb głębinie
śród gwiazd z ziemskiego pyłu się oczyści

i w sen nirwany jak pieśń się rozpłynie!

IX.

O pieśni święta! o pieśni natchniona!
twój głos jest głosem Boga, który stwarza!
Zrodzona w głębi człowieczego łona

bożą moc kładziesz ty w usta pieśniarza,
że jak stworzyciel i jak władca świata,
świat wedle myśli swojej przeobraża,

albo jestestwa zeń nowe wyplata,
ubiera w ciało z promienia i tęczy,
z ziemi odrywa i z błękitem brata,

stawia na mglistej srebrnych gwiazd obręczy —
i znów na ziemię woła, życia tchnienie,
które mu w sercu, w duszy, w słowach dźwięczy,

lejąc w znikome i ułudne cienie,
co ręką tknięte jak sen marny zczezną,
żal zostawiając wieczny i wspomnienie —

i nieśmiertelność rozpaczy bolesną!

X.

Oto świat cały opasany tęczą,
pod tęczą Ganges, jak srebrzysta struga,
na wodzie lotos — szatą mgły pajęczą

zazdrośnie skryty w gwiazd promieniu mruga.
Tarcza księżyca płynie ponad falą,
a dołem, w fali, płynie tarcza druga —

i tak się obie w mgle srebrzystej palą
i idą ku mnie obie — tak bez głosu,
jak sny dwa, łzawym podobne opalom,

lub śmierć, po kwiatach idąca lotosu,
by zrywać chłodną dłonią aksamitną
z jestestw zbawionych twarde węzły losu...

Ponad tą wodą wielką i błękitną
i pod tym srebrnym drżących gwiazd potopem,
co jak mistyczne jakie róże kwitną, —

pod tym księżycem, który świateł snopem
wodną toń muska i pieści lotosy
oblewające mnie woni ukropem —

w tajemne świata zasłuchana głosy
dusza się naraz roztęskniła we mnie
i jako wiatrem poruszane kłosy,

jęła zawodzić zcicha i tajemnie.
Jęczeć zaczęła i zaczęła szlochać,
bo wyjść na księżyc zapragnęła ze mnie,

w księżycu pływać i w księżycu kochać,
tonąć w mistycznej białych widm miłości
i w lotosowej woni... A nie płocha-ć

była to żądza, która w ciele gości
i pragnie ciała, lecz był to krzyk duszy,
która już do pół wyszła z ziemskich kości

i wpół już ziemskich zbyła się katuszy —
i rozwijając skrzydła długo zmięte,
czeka już tylko, aż je wiatr poruszy,

by wzlecieć w kraje nadziemskie i święte!

XI.

Stań się, wołałem, stań się, ma tęsknoto,
skrysztal się jasnem zjawiskiem przedemną,
niech blask twój ujrzę, — bo ma dusza oto

płacze za tobą i wszędzie jej ciemno,
kędy nie świeci twa postać promienna!
Nie wiem, skąd zejdziesz i jaką tajemną

szatę wybierzesz; czy ta fala senna
z głębi cię swojej wyrzuci przeźroczej,
czy otchłań niebios spuści cię bezdenna

jak gwiazdę złotą, czy ten kwiat uroczy,
co się na toni przeczystej kołysze,
ciebie porodzi, czy ma pieśń przed oczy

stanie mi tobą w księżycową ciszę:
lecz wiem, żeś blizko jest, o ma tęsknoto!
Czuję w powietrzu twego tchu haszysze,

widzę na falach twoją zorzę złotą,
słyszę, jak zdala brzmi twych słów muzyka;
ręce mej duszy wieniec ci już plotą

i dreszcz rozkoszny serce me przenika,
miłości świętej rozpalone żarem,
i pieśń ma wzbiera namiętna i dzika,

skrzydeł dostaje i świata bezmiarem
idzie cię szukać pod niebieską grotą
i zakląć boskiej swej potęgi czarem!

O stań się, stań się, stań się, ma tęsknoto!

XII.

Księżyc na falach i drugi w błękicie
coraz się jaśniej paliły przedemną,
a lotos drżący w srebrnych gwiazd rozkwicie,

co się z błękitu w toń rzucały ciemną,
między złotymi dwoma księżycami
głąb swą przewonną, świętą i tajemną

rozwarł — (tęsknotą czy pieśni dźwiękami
zaklęty — nie wiem), i pachnie i słucha
strun mych z miesiąca zmieszanych strunami

i echa, którem puszcza płacze głucha...
A ja w szeleście miesięcznych promieni
mając wtór pieśni swojej, mocą ducha

wzbudziłem echo śród gwiezdnych przestrzeni —
i gwiazdy wszystkie jęły dźwięczeć zlekka,
kwiaty i fale przeświętych strumieni;

śpiewała otchłań powietrzna i rzeka
i świat pod srebrną ulewą księżyca
i mgła na dżunglach dzwoniła daleka.

A oto miesiąc, srebrzysta różyca,
zwiększa się, rośnie, świetlaną koroną
ogni pół nieba i promienne lica

w wodzie zwierciedli, a mgły zewsząd wioną
dźwięczne, przejrzyste, błękitno-srebrnawe,
przez które gwiazdy, niby słońca, płoną

jasne, ujęte w perłową kurzawę
mgły, co nad bezkres wód się rozprzestrzenia,
jakby brylanty w srebrzystą oprawę...

Świat w kryształową jakąś baśń się zmienia:
fal roziskrzona łuska lśni się dołem —
a nad nią mgliste arkady, sklepienia,

kolumny niebo wspierające czołem,
groty z lazuru, łąki pełne czaru
ogromnej tęczy przepasane kołem...

Z pod liści złotych, z srebrnego oparu
lotos wypłynął w pełny blask księżyca —
świat cały zadrżał z rozkoszy nadmiaru:

oto spełniona wielka tajemnica! —
na jasną światła miesięcznego szarfę
z kwiatu wybuchnął z wonią duch — Dziewica!

Upadłem twarzą na złocistą harfę.

XIII.

O, ja ją widzę, ja ją widzę jeszcze,
jakgdyby znowu przed mą duszą stała —
wcielone piękno i marzenia wieszcze!

Świeci mi znowu skroń jej śnieżno-biała
i oczu dwoje rozwartych szeroko,
oczu bezdennych, w których razem pała

namiętność wrząca z zadumą głęboką,
dziecka niewinność i ta wiedza skryta
tajemnic bytu, której ludzkie oko,

choć ducha pełne, nigdy nie odczyta!
O! tak nadziemska, tak podobna snowi
i śmierci, którą człek radośnie wita!

Ostatnie dźwięki pieśni uchem łowi,
słodko zwrócona jasną twarzą do mnie,
a w koło fale, jak łoże wezgłowi

błękitnych pełne i miękkie ogromnie —
wabią, szeleszczą i jej srebrne włosy
na pierś dziewiczą rozsypane skromnie

miłosnej stroją brylantami rosy!

XIV.

I odtąd codzień o wieczornym zmroku,
kiedy się gwiazdy zapalają w górze,
a struga Gangi w srebrzystym obłoku

spowita, strojna w lotosowe róże
płacze i śpiewa, jako w dniu zaślubin
dziewczyna młoda, — a tam na lazurze

księżyc, jak jaki ognisty cherubin
wstaje i błyszczy barwami przemienny:
naprzód ogromny i krwawy jak rubin,

potem jak topaz złoty, jeszcze senny
i jeszcze mglistym odziany zawojem,
w końcu jak brylant czysty i promienny,

zalewający ziemię światła zdrojem,
ziemię przewonną, cichą, rozmarzoną,
wieczystym jakimś spowitą pokojem —:

biegłem nad wodę, by na święte łono
Gangesu rzucić swą duszę tęskniącą
w dźwięków harfianych błyski roztopioną —

i tę uroczą w mgle i woni śniącą
pieśni królewnę, dziewicę lotosu
wzbudzić tęsknotą wielką i gorącą,

zbudzić potęgą natchnionego głosu.

XV.

Na echo pieśni ona się budziła!
Ja jej rzucałem dźwięki, niby kwiaty, —
ona swe ciało w nich, jak wieniec wiła.

Naprzód się w mgliste przystrajała szaty,
w wonie i w światła miesięcznego pęki,
a w miarę, jak mój duch pieśnią bogaty

coraz jej nowe na toń rzucał dźwięki,
członki jej mgliste nabierały tętna
i oczy blasku — i tak z mojej ręki

brała swe ciało i stawała smętna
na kryształowej, na miesięcznej fali.
A kiedy pieśń ma wzmaga się namiętna,

blade jej lica dostają korali
i łono w szybszym wznosi się oddechu,
jaśniejszy blask się w tajnem oku pali,

na cichych ustach błyska cień uśmiechu,
wyciąga ręce i rozpuszcza włosy
podana cała harfianemu echu

i pieśni mojej, która nad niebiosy
w toń pod jej stopy obalone wzlata,
gdzie między gwiazdy wmieszane lotosy

z wody, po której miesięczna poświata
pływa, tajemne i przewonne łona
wznoszą — ofiarne kadzielnice świata.

A gdy już biegiem po strunach zmęczona
dłoń mimowoli mdleje i opada
i w coraz cichszych pieśń akordach kona:

pani ma w mgłę się otula i blada,
jakby z wyrzutem, że już strun nie pieszczę,
niknąc szmerami rzecznej fali gada:

»Śpiewaj! ach, śpiewaj! śpiewaj dla mnie jeszcze!«

XVI.

Więc znowum śpiewał, a kiedy pieśń cicha
rozkołysała, niby palmę wiotką,
świat ten, co duchen żyje i oddycha:

dusza lotosu tajemnie i słodko, —
jak wiatr, co echa gdzieś schwyciwszy w lesie
odrzuca strunom dźwięk za każdą zwrotką

i znów odbity drżący głos w bór niesie, —
melodją dziwną poiła mi ducha,
której ginącej w błękitów bezkresie

świat razem ze mną w zachwyceniu słucha
i powtarzając falą słowa senne,
do wtóru hymnem kwietnych woni bucha.

— Wody — śpiewała — podemną bezdenne,
a stopa moja po otchłani chodzi,
depcąc niebieskich gwiazd widma promienne!

Kwiat tajemniczy, co na głębiach wschodzi,
pachnie i ziemi nieznając umiera,
za łódź mi służy — i ja na tej łodzi,

co gwiazdom jeno łono swe otwiera,
duch bezcielesny pływam i powiewny —
a pierś miłosną mi tęsknotą wzbiera

i czekam, rychło jaki modlitewny
głos z duszy ludzkiej zrodzony pragnieniem
cudu i akord potężny, choć rzewny,

ubierze prawdę mego ducha cieniem
szaty cielesnej i oczom ukaże
białą księżyca srebrzystym płomieniem!

Stwórca w ciemności dumając bezmiarze,
myślą się we mnie zakochał i światy
stworzył stubarwne dla mnie, jak ołtarze, —

jak kadzielnice rozsuł po nich kwiaty,
ubrał je w piękne łąk i pól kobierce,
olśnił gwiazdami — i jak dar bogaty

na tym ołtarzu złożył ludzkie serce,
co wiecznie pragnie, kadzidlanym dymem
pieśni się do mnie modląc. Ja w rozterce

żywiołów jestem i miarą i rymem;
ja pięknem świata, które stworzyć trzeba;
a by mnie zbudzić, trzeba być olbrzymem

i umieć ziemie brać w pierś swą i nieba
i gwiazdy rodzić, światy stwarzać nowe,
i cuda działać — a od cierpień chleba

usta mieć spiekłe, a w promieniach głowę!

XVII.

I znowu włosy błękitne rozwiawszy
pod świt, co z dala się znaczy nad knieje,
w blaskach księżyca, który coraz krwawszy

na nieboskłonie wspiera się i mdleje,
gmach lazurowy z błękitnego czaru
i srebrne pośród sinych mgieł aleje

purpurą barwiąc i w gankach oparu
złocisto-krwawe zwieszając festony:
natchniona, złota od złotych fal żaru,

co się paliły od zachodniej strony,
w sine od wschodu mieniąc się bławaty,
śpiewała — mówię — a jam grał natchniony:

— Patrz mój kochanku, mój ojcze, coś szaty
dał mi cielesne i stworzył swą matkę,
kochankę bogów dziewiczą, jak kwiaty

lotosów, które w moich włosów siatkę
wplątane mdleją i skarżą się wonią, —
patrz na mnie piękną, bo oto zagadkę

życia przed sobą masz! — O, jak się płonią
lica me, gdy je twej pieśni dłoń pieści!
O, jak tęsknotą pierś wzbiera, gdy tonią

idzie twej harfy duch i w mgle szeleści
srebrnemi skrzydły. Dźwięku, jeszcze dźwięku!
pieśni! rozkoszy! — Ptak już ranny wieści

chwilę rozstania... Śpiewaj! Drży ci w ręku
harfa — to duch mój! Śpiewaj — księżyc blednie —
śpiewaj! — czy słyszysz miłość w moim jęku,

którym cię żegnam? To chwile poślednie
nocy, — wnet słońce brutalne wypije
rosę z mych kwiatów... cudu niema we dnie!

Śpiewaj! — już niknę... Twoją pieśnią żyję
i żyję nocą... Jaskrawość poranku,
wroga tajemnic, blaskiem mnie zabije — — —

Wieczór — na wieki — jam twoja — kochanku!...

XVIII.

Wrogiem mi słońce było od tej pory,
jasność przeklęta mi była, dzień wstrętny!
Ludzi, jak parja, unikałem chory

szczęścia nadmiarem i rozkoszą smętny...
Już w tajemnicze półciemne krużganki
świątyń nie wpadał szept słów mych namiętny,

bom się li modlił do mojej kochanki
w świątyni świata. Słońce mnie żegnało
nad świętą wodą i blade poranki

me ogniem spiekłe, wynędzniałe ciało
chłodnemi usty muskały nad strugą
rzeki tajemnej. A ja — kiedy dniało —

tam ku zjawisku, co mgły lekką smugą
nikło nad tonią, wyciągałem ręce,
przekleństwem zaćmić chcąc słońce i drugą

noc znów sprowadzić. W niewymownej męce
dziennego życia tęskniłem do nocy,
która w to błędne koło, gdzie się kręcę

przez klątwę życia i w byt mój sierocy
rzucała blaski jasnego zaświata
i przedsmak słodkiej zachwyceń niemocy!

Ta rzeczywistość barwna i bogata,
która zachwyca tu tłumy powszednie,
tak mi się zdała, jak jarmarczna szata,

którą świat ducha swego kryje we dnie,
by go pospólstwa nie skalały oczy...
Dopiero kiedy dzień bezczelny zblednie

i noc swe skrzydła gwiaździste roztoczy,
świat patrząc w gwiazdy jak gwiazda się czyści
i ducha swego wywija z obłoczy,

jak tajemniczy kwiat z zazdrosnych liści.
Duch tylko widzi tą tajemną duszę
i niewolnicy tęsknót wiekuiści,

którzy na życia skazani katusze
wiedzą, że noc się dnia jasnego wstydzi,
a to jest prawdą w ułud zawierusze,

co duch z swej treści porodzi i widzi!

XIX.

Ona mną była! ona była światem!
Zda się w nadziemskiem tem boskiem zjawisku,
co w tęczach błyszczy nad lotosu kwiatem,

cały świat z duchem mym w jednym uścisku
łączy się, wiąże i tak spala w jedno,
jak dwa płomienie w ofiarnem ognisku.

Mną jest ta ziemia, to niebios bezedno; —
jam jest wszechświatem bez granic i końca —
a wszystkiem — Ona! — Tę miłość bezwiedną,

którą ukochał siebie człek, obrońca
swych cierpień, i tę, co niebios ogromy
kocha i światy i gwiazdy i słońca,

jam przelał na nią, ten symbol widomy
świętej Jedności, która niepojęta
błyska przez świat ten, jak przez chmurę gromy.

Jak dusza była mi blizka i święta,
a jako wszechświat tak widna i jasna;
lecz jak ten wszechświat, tak nieogarnięta, —

tak niezgłębiona, jak ma dusza własna!

XX.

I zapragnąłem wszechświat wchłonąć w siebie —
i zapragnąłem poznać własną duszę!
W niezamąconem dotąd szczęścia niebie

blade się jęły pojawiać katusze
bezbrzeżnych tęsknót i pragnień niesytych,
które krzyczały, że ją posiąść muszę!

Co noc w księżyca blaskach złotolitych
z taką gwiaździstą nad czołem koroną
drżącą na falach w barwach rozmaitych

widzieć ją, blizką a niedoścignioną,
tak bardzo swoją a taką daleką;
myśleć, jak płonie jej dziewicze łono,

jakie się ognie palą pod powieką,
czuć, jak rozkoszą krew jej wzbiera, tętni,
gdy ją pieśń moja zbłąkana nad rzeką

w uścisk objąwszy ogniem roznamiętni,
wiedzieć, że szczęście jest w jej objęć szale
dla duszy, co się w łzach wieczystych smętni, —

a nie móc sięgnąć po nią tam — nad fale —
pieszczoty głodną, rozkochaną ręką
i jeno w pieśni zaklinać swe żale:

o! niezmierzona, niepojęta męko!

XXI.

Pragnę! — wołałem pieśnią w grom zmienioną, —
pragnę cię, duszo moja, mój wszechświecie!
O patrz! tęsknota rozsadza mi łono

i w harfie mojej skarży się jak dziecię
i dłonie pieśni wyciąga do ciebie,
w których wonniejsze niźli rajskie kwiecie,

czystsze niż gwiazdy na bezdennem niebie
drży serce moje, spragnionemi usty
chwytając wiew ten, co twój włos kolebie!

O patrz! rozwarte niebieskie upusty
lubieżnym deszczem gwiazd pieszczą twe skronie;
świat zakochany w mgieł przewonne chusty

ciało twe tuli... Wierz! mej duszy tonie
więcej gwiazd mają, niż niebieskie stropy;
łąki mej duszy czystsze mają wonie,

niż hindostańskich kwiatów rośne snopy!
Gwiazdami memi twe czoło ozdobię
i kwiaty moje rzucę pod twe stopy —

cały niezmierny skarbiec oddam tobie
krwi mej rubinów i mych łez opali!
O patrz! z strun złotych skrzydła sobie zrobię

i po miesiąca słupie, co się pali
między lotosy obalon na wodę,
pójdę — król dźwięku — po perlistej fali —

i pieśń, co miłość mą i twą urodę
sławi, dopóki się z życiem nie przerwie.
rzucę pod stopy twoje wiecznie młode,

jak dar bezcenny! Na każdym mym nerwie,
niby na strunie, miłość gra hymn wielki —
a dusza rwie się w tem ohydnem ścierwie

ciała zakuta, do swej rodzicielki,
do Piękna, którem ty jesteś, o córo
święta mej pieśni! Stargam węzeł wszelki,

który mnie łączy z cielesną naturą,
duchem się stanę, ogniem i płomieniem,
burzą miłości, pragnienia wichurą,

Ganges wysuszę swem ognistem tchnieniem,
by posiąść ciebie, o niedosięgniona!
o ty! co szczęściem jesteś i natchnieniem!

Pragnę raz tylko objąć cię w ramiona
i zlać się z tobą w nierozdzielne jedno,
utonąć duszą w głębi twego łona,

wgryść się oczyma w oczu twych bezedno,
wszechświat z ust twoich w jednym pocałunku
schwycić ustami i w mą duszę biedną

przelać treść jego! — Od ciebie ratunku
czekam, ginący w morzu mej tęsknoty...
Żądam cię! Pragnę z ust twych boskich trunku

nieśmiertelności! Twoich włosów sploty
falą niech spłyną po ogniu mych skroni...
Żądam cię! Głos twój rozkoszny i złoty

niechaj mi słodko miłosnym zadzwoni
szeptem... Twój oddech, haszyszowej czarze
podobny, niechaj mą duszę rozpłoni...

Żądam cię! słyszysz? Tyś moja! Ja każę,
byś moją była! — Ty musisz być moją!
Patrz! gdzie jest mocarz drugi na obszarze

ziemi, tak dzielną czarnoksięstwa zbroją,
jak ja, odziany i królestwem takiem
pieśni władnący?! Jak heroldy stoją

anioły dźwięku przy mnie, — a ja znakiem
dłoni je na świat ślę — snów moich gońce!
Wszystkie je poślę do ciebie — tym szlakiem

księżyca, w mgły te zapachami tchnące, —
i na akordów cię wezmą ramiona,
palcami rytmów w twego serca słońce

uderzą zlekka — i cała spłoniona
przyjdziesz tu do mnie, bo one cię zmuszą
przyjść... Ja cię chwycę, przycisnę do łona —

a potem — potem niech zginę wraz z duszą!

XXII.

Nie! ty nie zginiesz, odrzekła, ja zginę...
Oto pieśń twoja czyste serce we mnie
rozkołysała, — na falach jej płynę

gdzieś w przedstworzenne, macierzyste ciemnie,
z których wykwitłam tajemniczym kwiatem...
O mój kochanku! czego ty odemnie

żądasz? Jak Bóg chcesz złączyć się ze światem?
O! nikt ust moich nie dotknie bezkarnie,
ani mnie wstydu zabarwi szkarłatem!

Ten, kto mię drżącą do łona przygarnie
i pjany szczęściem świętokradzkie wargi
do lic mych zbliży, skazan na męczarnie

nieśmiertelności, nadaremnie skargi
będzie wysyłał i przeklinał życie,
z duszą swą własną popadłszy w zatargi!

Bo wiedz, że jedno słońce na błękicie
i jam jest jedna — i raz tylko jeden
dotknąć mnie można, raz jeden w wszechbycie!

Komu uścisków mych rozwarł się eden,
niechaj nie czeka znów mego widoku!
Twój sen się ziści, lecz w wiecznych bezeden

nocy ja zginę z przed twojego wzroku
i żadna pieśń mię już nigdy nie wzbudzi!
Otom jest widna dziś twojemu oku

i głos mój słyszysz, — najszczęśliwszy z ludzi
czego chcesz więcej? Tak możesz żyć lata
ze mną i przy mnie; lecz niech się nie łudzi

myśl twa, co żądzą do ust moich wzlata,
że po tej chwili, która da ci szczęście,
zoczysz mnie w kręgu świata lub zaświata!

O nie! — z rozpaczą ty pójdziesz w zamęście
nierozerwalne, gdy mnie twój zabije
uścisk! Na strunach swojej harfy pięście

zakrwawisz, klnąc to narzędzie i żmiję
pieśni, co objęć mych zawrotne niebo
rozwarła tobie, by jako paryję

wieść cię następnie udręczenia glebą
wiecznie i wiecznie, przez tysiące wcieleń
z katusz w katusze, gdzie trup jest kolebą

narodzin gorszych! Będziesz, jako jeleń,
co szuka źródła w bezbrzeżnej pustyni,
kędy się żadna nie rozkwieca zieleń;

lecz oto księżyc twoim stopom czyni
promienną drogę po falach Gangesu,
więc jeśli pragniesz mnie, twojej bogini,

to pójdź — po rozkosz i rozpacz bez kresu!

XXIII.

Któż pojmie walkę, która w mojem łonie
w tym dniu zawrzała, prądy woli sprzeczne
ścierając z sobą? Co wieczór nad tonie

szedłem, gotowy już męczarnie wieczne
wziąć na swą duszę za rozkoszy chwilę;
lecz gdy zjawisko już nad fale rzeczne

wzeszło, a pieśń ma swe skrzydła, motyle
naprzód — a z orlim następnie szelestem
bijące w srebrnym dżdżów miesięcznych pyle,

do barków moich przypięła: protestem
strasznym ma dusza wzbierała — i znowu
czując, że ciemnym świętokradzcą jestem,

co z niesytego pożądań narowu
chce dotknąć tego, co jest nieujęte,
i łowi szczęście, by wynieść z połowu

zabitą świętość, — swej pieśni rozpięte
skrzydła zwijałem i stopę, co miała
wieść mię przez ścieżki księżycowe kręte

skróś fal ogrodu tam, gdzie w blaskach pała
skroń jej, cofałem — i łkanie jedynie
moje szło do niej i ma dusza cała!

O! bo gdym myślał, że mi ona zginie
raz tknięta usty i nie wróci więcej,
w czarnej przestrachu tonąłem głębinie — —

a pożądałem jej co dnia goręcej!...

XXIV.

I tak dwóch chęci nieustanna sprzeczność
walczyła w ciemnej głębi mego łona,
ważąc me losy. Tam — męczarni wieczność

za jedną chwilę, w której będzie ona
moją, — tu wieczna tęsknota, zarzewiem
duszę gryząca i nieugaszona!

Straszny wyborze skazańca! W zalewie-m
tonął, a wiedział, że wznieść się li mogę,
by głębiej zapaść. I dzisiaj już nie wiem,

którą bym wybrał był katuszy drogę
i z jakich cierni zgotował posłanie
duszy, — czy żądzę zwyciężył, czy trwogę,

gdyby nie noc ta... Ach! któż dziś jest w stanie
opisać czary tej przeświętej nocy,
co rozpaliła na niebieskim łanie

gwiazdy ogromne i nadludzkiej mocy
dała mej pieśni! Ucichnął świat cały,
bogowie, zda się, posnęli wysocy

i bory cicho gdzieś na dżunglach stały
i fale rzeki zadumane, senne
płynęły, zlekka blask kołysząc biały

i lice w wodzie księżyca promienne...
W bezmiarze ciszy, w upojenia głuszy,
pod niebem, które gwiazdami brzemienne

iskier pył złoty w puch mgły sinej prószy, —
w świecie, co z głębi tajemnego łona
dał wyjść na księżyc swej zaklętej duszy,

było nas troje: pieśń — i ja — i Ona!
A nigdy gwiazdy nie były tak duże,
ani mgła kiedy, wonią przesycona,

taka srebrzysta, ni lotosów kruże
takie łez pełne, ni kiedy na fali
białe księżyca odbitego róże

tak migotliwe, — ni łyskami stali
tak się iskrzyły grzbiety fal wygięte,
ni harfa moja z pereł i korali

śpiewała pieśni tak wielkie i święte!

XXV.

Pieśń się ma do niej rwała, a w ślad za nią
szły ręce moje, — — a fala lubieżna
o brzeg dzwoniła, wabiąc. Nad otchłanią

wód mi jej piersi róża lśniła śnieżna —
a księżyc ukuł mi ze srebra ławę,
którą tęsknota ma poszła bezbrzeżna

ku niej, włosami lotosów murawę
kwietną zmiatając... I w ślad za tęsknotą —
skrzydła mej pieśni rozwinąwszy mgławe —

na fal błyszczących płynne-m wstąpił złoto
i szedłem z pieśnią, stęsknione ramiona
podnosząc ku niej pod nieb szklaną grotą.

A każda fala blaskiem wysrebrzona
stopniem się stała i wiodła mię w górę,
na której szczycie w glorji stała — Ona!

I szedłem w pyłu miesięcznego chmurę,
w krużganki dziwne, pomiędzy filary
z lazuru wody, które słońc purpurę

za kapitele miały, w gwiazd pożary,
co w rytm mej pieśni wirowały dźwięczne,
w ogród lotosów, w gangesowe czary

i w błyskawice spokojne miesięczne,
tańczące koło jej białego czoła.
I tak mię wiodły stopnie stutysięczne

wyżej i wyżej, precz z tego padoła
cierpień, na górę wód pod niebo wzdętych, —
a pieśń nademną skrzydłami anioła

biła w załomach sklepienia z mgły krętych,
z wnętrza lotosów ogromem potwornych
ech dobywając przeczystych i świętych.

Świat w głąb gdzieś zapadł. Po grzbietach fal kornych
i po księżyca marach szedłem wyżej — — —
Przedemną dźwięków sto, zrazu niesfornych

jękło, w kaskadzie rozstrzelonych chyżej —
i nagle pieśń się zawiodła nademną
chórem ogromnym, — a coraz już bliżej

święta lotosu dusza tuż przedemną
drżała w połyskach nieuchwytnej zorzy — —
Pierś jej jak przez sen widziałem tajemną, —

w oczach jej straszny, miażdżący błysk boży,
a w ustach niebo rozkoszy bezdenne...
Jeszcze krok jeden a — raj się otworzy

mej duszy... Okrzyk szalony, — promienne
gwiazdy jak race rozprysły się z trzaskiem
i szklanym dźwiękiem drgnęły fale senne:

w ramiona-m chwycił jej kibić, — i blaskiem
pjane me wargi w jej usta się wpiły — — —
Pieśń jękła ptaka ranionego wrzaskiem —

Niebo!!! — Upadłem bez ducha i siły.

XXVI.

Rano-m się zbudził ponad brzegiem rzeki
na harfy niemej połamanym trupie,
śród południowej dnia dusznego spieki...

W twarz mi się z nieba śmiało słońce głupie,
a wody mętne, cuchnące — leniwie
wlokły się, bulcząc, pod blask, co skorupie

podobny szklistej, oślizgłej, po grzywie
brudnych pian pełzał... Wiedziałem, że zmarło
wszystko i Ona — jak pieśń ma — nie żywie.

Łkanie straszliwe moją pierś rozdarło.

XXVII.

Nigdy jej odtąd już nie zobaczyłem...
I chociaż struny-m nawiązał na nowo
na harfie rzecznym pokalanej iłem

i znów nad brzegiem ciszą księżycową
śpiewałem: czar się nie powtórzył. Noce
blade, bezduszne szły nad moją głową;

drobne, dalekie gwiazdy w nieb pomroce
martwo świeciły — i na strun mych złoto
nigdy już dawne nie zleciały moce,

choć serce dawną wzbierało tęsknotą.

XXVIII.

I tylko w porze, gdy przy lasów szumie
blask się na fale złocistą kładł wstęgą,
a kwiaty nocne, schylone w zadumie

nad gwiazd runami pisaną wód księgą,
wiatrom czytały treść jej tajemniczą:
z nieprzemożoną wstawało potęgą

w duszy wspomnienie chwili, gdy słodyczą
ust jej pijany na fale Gangesu
padałem, gnąc się pod straszną zdobyczą

poznanych tajni i szczęścia bez kresu — —
I oszalały bólem i rozpaczą,
że nie przywrócę już tego okresu,

gdym jej widokiem pasł duszę tułaczą,
po chłodnym piasku wybrzeża się wiłem
i tak płakałem, jak ci ludzie płaczą,

którym, zabrawszy to, co było miłem,
życie jak rzeka wyschło, li z swej treści
to zostawiając, co jest życia iłem:

wspomnienie szczęścia i otchłań boleści!

XXIX.

O jakże nędzny! jakże marny jestem,
odkąd zniknęła ona memu oku!...
Zaiste! dziwnym Byt jest palimpsestem,

którego treść się w stu linij natłoku
zazdrośnie kryje. Nieświadomość cięży
nieznośnie duszy, która płacze w mroku;

lecz kto zagadkę ujmie i zwycięży
i wydrze prawdę odwieczną wszechbytu
z zawiłej sieci poplątanych węży

potęgą ducha, co dążąc do świtu
stwarza przed łodzią bystrej myśli morze
prawd niesłychanych: w godzinie dosytu

stokroć nędzniejszy, niż ten, co na zorzę
patrząc daleką, z tęsknoty umiera!
Bo ten — mrze tylko; a on światło boże

wchłonąwszy, duszy swej zbrodnią otwiera
nieśmiertelności okropną krainę,
a nie zdobywa tego, co przybiera

wieczność w ponęty: szczęścia bogów. W glinę
ciała zakuty, boskości połowę
i świętokradztwa niezmazaną winę,

która przekleństwo ściąga mu na głowę,
jako miażdżący ciężar nosić będzie
przez ścieżki życia twarde i cierniowe!...

Dopóki światło nad zmysłów krawędzie
wzniesione-m widział, miałem cel przed sobą;
teraz mi zgasło — poznane. A w pędzie

wciąż bezcelowym w przyszłość, co żałobą
jest mi jedynie, wbrew woli iść muszę
zazdroszcząc ciszy nieświadomym grobom —

z cierpień w cierpienia i z katusz w katusze...

XXX.

Przyszedł czas, żem jej nie pragnął na nowo
wzbudzić już, wiedząc, że pieśń ma moc dawną
straciła i już żadnych zaklęć słowo

cudu nie sprawi. Stało mi się jawno,
że jedna li jest wyjścia z cierpień droga:
przytłumić w duszy pamięć niepoprawną,

w której wciąż wspomnień gryzących pożoga
płonie, żrąc myśl mą i sycąc tę wolę,
co wstecz pielgrzyma od Nirwany proga

wężowym biczem odgania i bole
życia na barki znużone mu wkłada.
Lecz darmo w pjanych towarzyszy kole

chciałem zatracić myśl... Jej postać blada
w wyziewach wina i w kadzideł dymie
staje w mych oczach nędznych; głos jej gada

w hulaszczej piosnki wyuzdanym rymie;
w haszyszowego upojenia szale
widne mi jedno niebiosa olbrzymie

i księżycową łuską srebrne fale
i kwiat, co przed nią senny się kołysze...
Zrywam się, ręce wyciągam — i dale

jasne znikają... Ha! co mi haszysze
nie dały, zmysłów da orgja szalona;
na piersiach hurys pamięć swą przyciszę!

Więc w dziew nietkniętych wgryzałem się łona
i piłem z uciech wyszukanych źródła
męt, od którego drżała podniecona

lubieżnym dreszczem ma postać wychudła;
najpotworniejsze stwarzałem rozkosze,
grzejąc odwarem ziela chuć, co chłódła

w bezsennych nocach, — w tej wierze, że spłoszę
ohydą pamięć jasnego widziadła...
I już świadomość przeszłości po trosze

traciłem, — postać jej czysta już bladła
w mej odrętwiałej myśli... Wtem księżyca
strzała przez okno na łoże raz padła

i oświeciła dziew znużone lica...
Nieba! — jej rysy w każdej widzę twarzy!
Nieba! — to ona! lotosu dziewica! —

Chłodny aksamit wezgłowia mię parzy:
rzucam się, ryczę, jakby lew raniony!...
Ach! zabić obraz ten w pamięci wraży!

tan niepowrótny szczęścia sen — prześniony!
Ona! — a tutaj wstrętne, nagie ciała!...
Kindżał przy boku... jam tak krwi spragniony...

krzyk, — krew gorąca tryszcze z pod kindżała.

XXXI.

Od pokrwawionych trupów mych kochanic
chęć niepamięci przemożna mię wiodła
z hufem rycerzy do ziem moich granic,

kędy mongołów czerń zaległa podła
kwieciste błonia... Do dziś-dnia brzmi sława
i tryumfalne moich zwycięstw godła

świecą w świątyniach — a ziemia tam krwawa
jeszcze być musi, kędy w dzikim boju
przed moim słoniem legła trupów ława.

W krwi najezdników kąpałem się zdroju,
zdobyłem ziemie — i sławę — i łupy,
wszystko zdobyłem, wszystko! krom spokoju.

Na bojowisku, gdzie zrąbane trupy
z ścierwem wielbłądów w krwi legły pospołem,
kazałem stawiać zaostrzone słupy

i licząc szczerby w ostrzu miecza gołem,
słuchałem jeńców mordowanych wrzasku
i chrzęstu kości rozpychanych kołem,

co się zagłębiał w ich łona. Przy blasku
stosów, co żywe pożerały ciała,
opar krwi w górę bił, — a gdzieś po piasku

dalekich pustyń ciekła rzeczka mała,
szumiąc mi dziwnie... O, wysokie bogi! —
nad dymne zgliszcza znów jej postać biała

wionęła zdala! — Ja, com nie znał trwogi,
choć słońce ćmiły strzał zatrutych chmury,
czułem, że strach mię przejmuje i nogi

gną się podemną. Tygrysie pazury
rozpacz znów w serce me wbiła. Szalony
na koń skoczyłem i w lasy i w góry

gnałem krwią jeszcze nieprzyschłą zbroczony,
ścigany ofiar zarzynanych krzykiem —
dumny zwycięzca! a tak bez obrony

przed tem wspomnieniem, co tli wciąż płomykiem
zgubnym w mem sercu... Jak poszczuta sarna,
szaleństwem strachu obłąkany dzikiem

gnałem — a ze mną rozpacz gnała czarna.

XXXII.

Myślałem: gdy już duszy nie uzdrowi
krew ani rozkosz, haszysz ni dźwięk szklanic,
więc stworzę jeno mojemu smutkowi

świat piękna, czaru, przepychu bez granic,
gdzieby me zmysły w słodkiem upojeniu
zasnęły cicho, nie zważając na nic,

i zapomniały we śnie o cierpieniu...
Miasto-m zbudował tedy kryształowe
w górskiej dolinie przy srebrnym strumieniu;

sto szklanych kopuł słupy jaspisowe
dźwigały w lazur powietrza, a złote
palmy w owoce zdobne rubinowe

chwiały na wiatrów rzucone pustotę
liście swe kute ze srebrzystej blachy,
rozwiane przez mą niesytą tęsknotę

ponad pałaców kryształowe dachy...
A potem w gardziel wąwozu, gdzie wody,
co okrążały me czarowne gmachy,

pomiędzy głazy i stuletnie kłody
grzmiały kaskadą, zwaliłem dwie góry —
i fala z jękiem od nagłej przeszkody

odbita drgnęła i srebrnemi pióry
wstecz zatoczywszy krąg szeroki, lśniąca
poszła zadzwonić perłami o mury

szklanego miasta. Już o progi trąca, —
rośnie, — oknami do sali się wlewa;
jasna od iskier słonecznych tysiąca

igra z palm liściem; już złociste drzewa
toną w jej łonie; ona rośnie, rośnie,
bije o wieże jak spłoszona mewa

śnieżnemi skrzydły i kryje zazdrośnie
wszystko tęczami. Stanęła w jezioro
szklane rozlana. Wraz zagrzmiał rozgłośnie

wodospad, który ponad skał zaporą
znalazłszy drogę, skoczył w dół przez głazy.
Powierzchnia wód się gładziła, a skoro

błysła do słońca zwierciadłem bez skazy,
z głębin wyjrzało me miasto zaklęte, —
jak z haszyszowej zrodzony ekstazy

sen — takie piękne i tak nieujęte.

XXXIII.

Nadbrzeżne skały porąbałem w schody
i marmurowe spiętrzyłem terasy,
wieszając na nich bajeczne ogrody,

co się powojów wodospadem w lasy
palm przelewały i tęczowym wzorem
na biel marmurów kraśne słały pasy.

Łódź pozłocista wysłana bisiorem
w noc śród ogrodów nosiła mię lekko,
jak ptak nad sennem ważąc się jeziorem

i ponad miastem, które światła rzeką
zalane lśniło się z wodnej głębiny
w błękitnych ogniach miesiąca. Daleko

kędyś się opar z wód podnosił siny
i szedł ku łodzi mej cicho po fali,
a z nim wspomnienie szło owej godziny,

gdym na mej harfie z pereł i korali
grał pieśni święte przed jasnem obliczem
dziewy, co znikła w niepowrotnej dali...

I anim wiedział, kiedy tajemniczem
wspomnieniem czaru dusza opętana
o niej śniąc znowu uczuła, że niczem

wszystko jest dla niej i że dawna rana
pali ją w piersiach... Gwiazdy w wodnej toni
odbite błyszczą; łódź ma kołysana

falą wśród kaskad ogrodów w dal goni —
a mnie jęk w piersi dławi ból okrutny
i śród przepychu i czaru i woni

płynę znękany — jak zawsze — i smutny.

XXXIV.

Więc jako czynią indyjscy fakirzy,
poszedłem w puszczę, wyzbywszy się pychy,
sądząc, że gdy się ma dusza poniży

i gdy się stanę jak mogiła cichy,
śmierć niespłoszona żadnym życia ruchem
przyjdzie i domek mego ciała lichy

zwieje z powierzchni ziemi ust podmuchem
i duszę, która w spokojnym zachwycie
zgubiła wolę i stała się duchem,

odda Nirwanie na snu wieczne życie.
Siedziałem nagi z dłońmi splecionemi,
z przymkniętem okiem, a co dnia o świcie

kubek mi wody stawiano na ziemi
i chleb — pobożny dar wiernych pielgrzymów.
Stary pustelnik rękoma drżącemi

karmił mię, poił i gryzących dymów
chmurą odpędzał złośliwe demony,
które czyhają na świętych. Ty wymów

słowo li jedno — wnet całe legjony
duchów ci wpadną przez usta do wnętrza
i świat Nirwany zaćmią upragniony.

Milczałem tedy. Za to myśl gorętsza
niż kiedy, modlitw rozpalona żarem,
tam, gdzie się obłok Himalajów spiętrza,

biegła, szczeblując po szczytach z oparem
lekkich mgieł — w górę, do tego zaświata,
gdzie duch życiowym przywalon ciężarem

znajduje pokój... I mijały lata...
Członki me zwolna tężały bez ruchu;
włos rósł po ciele, które zielska szata

bujnego kryła; dłonie me na brzuchu
splecione wrosły paznokciami w skórę —
jam nie czuł bólu. W sennym moim duchu

wszystko cielesne już marło. Ponure
tygrysów ryki szły w noc nad rozłogi;
burze straszliwe w gromową purpurę

strojne szalały, — lecz jam nie czuł trwogi.
Wspomnienia gasły w przymglonej pamięci,
a gwiezdne w dal się otwierały drogi

duszy, co ziemskich ukochań i chęci
brzemię zrzuciwszy, szła cicha, marząca,
w kraj, gdzie umarli idą żyć — i święci —

stopieni w blaskach wszech zapomnień słońca.

XXXV.

Noc, pomnę, była bezgwiezdna, bezdenna —
a skróś ciemności w srebrzystem obłoczu
postać z nieb ku mnie spływała promienna.

Blask jej widziałem, nie podnosząc oczu
i czułem, że to Nirwana się zbliża
z makowem kwieciem w rozwianym warkoczu.

Śmierć czarnoskrzydła leci przed nią chyża,
a za nią szumią zapomnienia rzeki...
Idzie — ja czekam. Już usta swe zniża

nademną... Nagle otwarłem powieki, —
zgrozo! to ona! jej postać! jej lica!
ta utracona na zawsze! na wieki!

Jękłem — sen pierzchnął. Spokoju krynica
czysta nie dla mnie! Ja ją kocham jeszcze,
i jest mi droższa niźli obietnica

ciszy! Pragnienia niestłumione dreszcze
serce me szarpią, wola nęka duszę
i życie z śmiechem w palców swoich kleszcze

chwyta mą szyję, — przekleństwo! — żyć muszę!

XXXVI.

Uciekłem z Hindji, lecz w żaglach okrętu,
co mnie od pełnej wspomnienia krainy
niósł w obce światy pośród fal odmętu,

tęsknota moja wzdychała, na siny
błękit mórz pomrok rzucając ponury.
A kiedy w wietrze zaskrzypiały liny,

mnie się zdawało, że wplątana w sznury
rozpacz ma wierna chichoce w ich zgrzycie —
rada, że swoje straszliwe pazury

wpiła tak silnie w moje nędzne życie,
iż się nie wyrwę z jej objęć. I wszędzie
szedł za mną cień jej i jej skrzydeł bicie

zawsze słyszałem i wiem, że tak będzie
zawsze. Śmierć, nędznych ostatnia otucha,
jest mi, jak w ręku złamane narzędzie...

Nic nie zabije pragnącego ducha,
bo on swe życie wciąż snuje z swej treści,
a gdy opadnie zeń powłoka krucha,

w nową się wciela na stare boleści.

XXXVII.

Wiem, że nie umrę. Zmienić jeno mogę
sposób istnienia. Gdy ciało wyschnięte
od cierpień zrzucę, jak znoszoną togę,

duch mój nieświadom tam pójdzie, gdzie święte
strumienie szumią, kędy Himalaje,
jak rozmodlonej ziemi w strop wytknięte

czoło, lśnią w słońcu i srebrne ruczaje,
jak łzy nad nędzą istnienia, z ócz ronią.
Pójdzie na łąki i w palmowe gaje,

pójdzie pić wiatry przesycone wonią
tam, gdzie jest błękit czyściejszy i zieleń
świeższa i kwiaty ogniściej się płonią;

przemknie przez Hindję, jak nieścigły jeleń —
póki go Maja nie ułowi w sidła
i nie powlecze na łańcuchu wcieleń...

Może łabędziem kiedyś śnieżne skrzydła
roztoczę ponad Gangesową strugą
i goniąc w wodzie złotych gwiazd mamidła,

skarżyć się będę przeciągle i długo,
nie wiedząc nawet, że łabędzim głosem
płaczę swych ludzkich tęsknót. A maczugą

śmierci znów ubit, potem może włosem
palmy rozwieję swój żal i tęsknicę
nad świętym pośród świętych wód lotosem...

Skrzydłem muskając me zielone lice
tęskny wiatr w liściach zaszeleści z cicha
i rosę gorzkich łez strzęsie w krynicę,

co się zadziwi, że palma tak wzdycha...
I znowu potem wcielony w tygrysa,
który na zdobycz w cieniach nocy czyha

i chciwie z gardła ofiar krew wysysa,
będę się błąkał po dżunglach w noc parną,
kędy wąż syty z fig konarów zwisa

nad wodą mętną, zatrutą i czarną;
a kiedy miesiąc na niebieskim sklepie
wschodząc rozpłoni się łuną pożarną,

błędne wywrócę na krwawy blask ślepie
i strwożę rykiem antylopy lotne,
gdzieś na odległym pasące się stepie...

A jęk mój budząc echa gór stokrotne,
pójdzie w ciemności — wydarty wspomnieniem
zamglonem szczęścia, co już nie powrotne...

Wszystko mi jedno! Jakiem-bądź istnieniem
pokalam smutną i pragnącą duszę,
to wiem, że każde będzie mi cierpieniem,

bo nieśmiertelne są moje katusze.

XXXVIII.

Mroczno mi w myśli; dłonie od strun mdleją
i pieśń się zrywa, obumiera, płącze:
żegnaj mi, pieśni, co nie brzmisz nadzieją,

żegnajcie struny, po których me rącze
palce biegały; już mi w drogę pilno, —
łzy już ostatnie z zgasłych źrenic sączę

i dłoń już czuję na sobie mogilną,
która obrywa ciało z mego ducha, —
dłoń zimną, straszną, a cichą, a silną...

Duch mój wbrew woli tej dłoni posłucha
i weźmie postać z swą istotą sprzeczną
i pójdzie... Zgasła ostatnia otucha:

wiem, że w wędrówkę się wybieram wieczną,
która nie wiedzie do przystani ciszy —
a towarzyszkę w drodze ostateczną,

z wszystkich ludzkiego życia towarzyszy
jedynie wierną na wieki przy boku
będę mieć: Boleść. Dzisiaj jeszcze dyszy

pierś ma człowieczym tchem i jeszcze w oku
lśni odblask myśli i pieśń jeszcze kwili;
lecz wnet mi każe śmierć postąpić kroku

na ścieżce, która ku dołom się chyli:
więc nim się bytem zwierzęcym splugawię,
ja, com śnił niebo, w tej ostatniej chwili

żegnam Cię z proga mąk — i błogosławię,
o, Duszo Życia, jasny Świata Kwiecie!
iżem Cię ujrzał i poznał na jawie,

choć ból mię za to nieśmiertelny gniecie!

CIEŃ.

1895.

* * *

Żyłem z nią razem jedną wiosnę złotą
i co dnia oczom moim była widna:
cień jej padł na mnie, jak zmora obydna...
Poszła. Wiem — wróci. Kiedy? nie dbam o to.

Teraz już nie dbam, bo już nie mam wiosny,
by ją ścmić mogła swym szyderczym śmiechem,
ani młodości, by grobowem echem
mącić zdołała okrzyk jej radosny...

Gdy przyjdzie znowu, straszyć już nie będzie,
wiem — ale wpadnie, jak żbik na zwierzynę, —
jutro? za dziesięć lat? czy za godzinę?
— Już jej nie widzę, choć jest ze mną wszędzie.

I.

Wolno wieczorna wybiła godzina,
słońce płomienne zachodzi za góry —
w szatach z fjoletu, złota i purpury
do snu się kładzie — — i zmierzch się zaczyna..

Zmierzch się zaczyna. Ziemia się obleka
czarną, gwiazdami wyszytą osłoną....
Bądź zdrowe, słońce! — jutro błyśniesz pono —
jutro!... Szczęśliwy, kto ranka doczeka!

II.

Stoję przed jakąś tajemniczą bramą —
i dziw, że prędko tak dobiegłem do niej;
a nie wiem, czy-li mi będzie Sezamą,
czy brzegiem strasznej, ciemnej, głuchej toni...

Stoję i liczę w myśli zwiędłe kwiaty,
minione blaski i zwodnicze wonie, —
a tam tymczasem z za żelaznej kraty
blade się ku mnie wyciągają dłonie...

III.

Czasem wieczorem, gdy róże płomienne,
srebrne jaśminy i lilij kielichy
wonie mistyczne leją i wpół-senne —
a brzęk owadów z łąk zalata cichy:

staje przedemną moja mara blada
i łamiąc kwiaty, z któremi się pieszczę,
z szyderczym śmiechem, jak wąż sycząc, gada:
»Czekam i czekam! — czyś nie gotów jeszcze?«

IV.

Wszędzie a wszędzie w ślad za mną się skrada,
zawsze a zawsze czuję ją przy sobie;
w ciszy i w szumie wichru do mnie gada
słowa te same — o śmierci i grobie...

I duch mój już się jej nawet nie lęka,
i nie drży, chociaż ją czuje przy sobie,
nie płacze, chociaż go muśnie jej ręka
przeczuciem tęsknem — o śmierci i grobie...

V.

O, nie płacz, nie płacz, królewno zaklęta, —
o, nie płacz, dziecię, nie płacz moja duszo;
wnet się już kraty więzienia rozkruszą
i wnet już spadną twoje ziemskie pęta!

Śmierć pocałunek złoży na twem czole
i pójdziesz wolna gdzieś w krainy ciche
błądzić i marzyć — — tam cię, słodka Psyche,
czeka z pieśniami Eros, bóg-pacholę!

VI.

O! wy nie mówcie, żem młody i silny;
ja wiem, ja czuję w sobie oddech śmierci:
chłód już owiewa me skronie mogilny
i czerw cmentarny toczy pierś i wierci...

O! wy nie mówcie, nie kłamcie przedemną! —
ja się nie lękam i nic mnie nie trwoży —
i pójdę cichy w tę drogę tajemną,
w którą mię wyrok pchnął — za młodu — boży!

VII.

Wielka fabryka stoi pośród lasu — —
Wieczór — i wyszli robotnicy dzienni,
umilkło echo dziennego hałasu
i coraz puściej — i ciszej — i senniej...

Ogień się tylko jeszcze w piecach żarzy
i dym się wolno nad kominem wlecze;
pod czarnem niebem kołysze się waży — ,
i kształty jakieś przybiera człowiecze...

VIII.

Snują się w myśli senne krajobrazy
zagrobowego tak pełne nastroju,
pełne księżyca, ciszy i pokoju,
budzące w duszy mistyczne ekstazy.

I duch mój leci senny a skrzydlaty
gdzieś ponad wody szerokie i mętne;
skrzydła mu ciążą, leniwe, niechętne,
a księżyc w mgliste go odziewa szaty.

IX.

Wody szeroko rozlane i czarne,
głazy nad niemi dumają posępne —
a dalej puszcze, głuche, niedostępne,
wielkie, tajemne, smętne i bezgwarne.

W bladych oparach wieszając promienie
nad wodą trupi jakiś księżyc świeci;
a pod księżycem na mgłach cichych leci
jakieś niejasne i dawne wspomnienie...

X.

Wieczór i cisza... We śnie czy na jawie?
Mniejsza! Gwiazd pełne krzewów latorośle;
na wodzie lśnią się dziwne oka pawie;
perły z szelestem spływają po wiośle...

I jakieś usta nademną schylone —
i dłoń na oczach mych alabastrowa,
dobra i słodka... kwiaty — i pieszczone
od kwiatów milsze rozkochane słowa...

XI.

Przed oknem młoda topola wyrasta,
wietrzyk wieczorny potrząsa jej włosem;
a z dali słychać gdzieś od strony miasta
zegar bijący wolno smętnym głosem — —

Biedna topolka! Wiatr jej listki kruszy,
a ona gnie się, płacze i narzeka...
Zegar przedzwonił — i już tylko w głuszy
słychać, jak życie kędyś w dal ucieka — — —

XII.

Wiem, żem jest pyłek w wszechświatów przestworzu;
wiem, żem jest fala na wieczności morzu,
która wzbudzona wichrem na głębinie
wzdyma się, leci, rozpływa i ginie — —

Giną te fale, jak sen nikłe, marne,
lecz morze wiecznie nowemi ciężarne
szumi — i żadnej nie traci kropelki;
wiem to — i sławię Cię, o Boże wielki!

XIII.

Chwilą wieczorną jakieś widma ku mnie
z płaczem przychodzą — mgliste i niejasne:
ach! znam je, znam je! to me dzieci własne
przeklinać ojca swego przyszły tłumnie!

Wyście się miały w pieśniach mych narodzić,
ale już nie czas! nie czas, biedne dzieci!
Nigdy wam, nigdy słońce nie zaświeci,
nienarodzonym wam ze świata schodzić!...

XIV.

Wieczór. Wiatr żaden listków drzew nie rusza,
wonie jaśminu z ogrodów się leją, —
a tam nad wielką, tajemniczą knieją
ogromna waży się na skrzydłach głusza...

Moc ma mistycznych ta cisza haszyszy:
słodka jak wiosna — i tęskna jak jesień,
pozbawia duszę pragnień, czuć, uniesień — —
a jednak straszno mi tej wiecznej ciszy...

XV.

O! jakże piękna ta ziemia, to życie!
piękne te gwiazdy świecące gdzieś w górze
i piękne szczęście, łzy, śmiechy i burze —
te gwiazdy lśniące na duszy błękicie!

I żal mi świata i wiosny i słońca,
i żal mi szczęścia, smutku, łez, wesela, —
żal mi, bo widzę, że wszystko spopiela
śmierć — i że będzie już ciemność bez końca!

XVI.

O, klnijcie ziemię! klnijcie świat i ludzi!
klnijcie i ziońcie pogardą a złością,
nie przebaczajcie ni umarłych kościom,
niechaj szyderstwo wasze wszystko studzi!

Lecz kiedy śmierć wam stanie przed oczyma
i świat wam w mgłę się już rozwiewać zacznie,
wy, coście wiosnę klęli tak niebacznie,
przyznacie: piękna jest nawet i zima!

XVII.

O! gdyby raz cię zobaczyć przed zgonem,
ty wymarzona — niespotkana jeszcze!
W myśli twe oczy całuję, i pieszczę,
dłoń twą na czole kładąc rozognionem!

I żal mi bardzo, że mi umrzeć trzeba,
nie tknąwszy usty pełnego puharu,
twych pocałunków nie zaznawszy czaru
i nie zaznawszy twych uścisków nieba!

XVIII.

Do piersi twojej chciałbym cisnąć usta
i chłonąć rozkosz — iskrę po iskierce;
lecz cóż! — już zcichło twe gorące serce
i pierś tak zimna, tak zimna i pusta!

Więc się odwracam od tej piersi z lodu —
i tylko smutniej mi czegoś i gorzej,
kiedy pomyślę, że z twej piersi bożej
zawiał mnie oddech grobowego chłodu...

XIX.

Chciałem — więc dobrze! Chciałem żyć szalenie
i kielich do dna wysączyć, aż do dna!
i nim przeminie młodość ta swobodna,
w noc się rozpłynąć, jak pieśni westchnienie!

Żyłem szalony i nie będę stary:
więc wszystko dobrze! niech się pieśń rozpłynie!
Więc wszystko dobrze! — a żal mi jedynie,
żem jeszcze do dna nie wysączył czary — — —

XX.

Niech złoty puhar winem się zapieni,
a wy tam lutnie nastrójcie i flety! —
szału chcę! wina! słodkich ust kobiety!
wieńców i śpiewu! wonnych róż czerwieni!

Dziś moja stypa! — więc niech szumi w głowie!
niech się krew burzy jeszcze raz ostatni:
dziś moje! — — Uścisk oddajcie mi bratni,
bo jutro — sami będziecie, druhowie!

XXI.

Ha! jutro! jutro... Jutro zgasną gwiazdy
zczernieje słońce i będzie już ciemno!
Życie tak pędzi — ot, meta przedemną:
jutro już koniec tej szalonej jazdy.

Jutro nie będzie słodkich ust dziewczyny,
nie będzie wina, ni śpiewu, ni lutni, — —
o! jutro — — — Bracia! i czemu wy smutni?
wszak z gliny-m powstał i wracam do gliny!

XXII.

Ty znowu przy mnie! — cóż mi więcej trzeba?...
Patrz! ja spokojny! — patrz! ja już nie płaczę!
Tyś odpędziła gorycz, łzy, rozpacze:
mrąc, będę wierzył, że idę do nieba!

O! będę marzył, że dzieciństwo wróci, —
a ty jak anioł nad kolebką stoisz,
a śmierć jak matka: »I czego się boisz?
»ta matka dobra! nigdy cię nie rzuci...«

XXIII.

W północnych lodach drzymał wulkan stary
i na śnieg patrząc, na lody bezbrzeżne,
dumał, jak znikły by te pola śnieżne,
gdyby on rzucił na nie swoje żary...

I czuł w swem wnętrzu płomienia odmęty,
lecz iskier skąpił i patrzył z pogardą
na świat, podnosząc w chmury głowę hardą —
Patrzył — i zastygł w lód, sam mrozem ścięty...

XXIV.

Nie ma nadziei, kto w spękanej łodzi
bez żagli, steru, na oślep po fali
pędzi z wiatrami! Nic go nie ocali,
a patrzeć musi, jak koniec nadchodzi.

Nie ma nadziei, a przecież nie skacze
w burzliwą otchłań, lecz deski się chwyta,
choć wie, że żadna gwiazda nie zaświta,
i wie, że nigdzie nikt po nim nie płacze.

XXV.

Kiedy już rwie się życie w ziemskiem ciele,
duch chwile dziwnych jasnowidzeń miewa:
rozumie kwiatów woń i szumy drzewa,
szmery potoków i ptaszęce trele.

I tak — gdy siedzę w ogrodzie wieczorem,
myślę, że jestem w towarzyszy gronie;
ptaki mi baśnie prawią i róż wonie —
i coraz smutniej w mojem sercu chorem — —

XXVI.

Ja jej nie pragnę — lecz wiem, że się zbliża;
ja jej nie wołam — lecz wiem, że nadchodzi;
choć pierś zasłaniam — ona w nią ugodzi,
legnę — i żal mi, że nie u stóp krzyża — —

Ach! już odszedłem od tych stron daleko,
gdzie krzyż dla grobów spokojnych strażnikiem,
i paść mi trzeba na pustkowiu dzikiem
z piersią rozdartą, otwartą powieką.

XXVII.

Pogrzeb dziś ciągnął przed oknami memi;
księża śpiewali głucho i nabożnie,
a słowa pieśni lud powtarzał trwożnie:
»Z ziemi powstałeś i wrócisz do ziemi!«

Księża śpiewali, błyszczały gromnice,
a długi pochód ciągnął się tak wolno;
już wyszedł z miasta, wiodąc ścieżką polną
trumnę w samotną cmentarną kaplicę — —

XXVIII.

O, matko moja! wszak ty mi przebaczysz,
żem się tak młodo zerwał od twych kolan? —
Choć w czarze życia mego kipiał haczysz,
każdy kęs chleba łzami był mi polan...

Obiegłszy ziemię, marnotrawne dziecię,
z łachmanem życia staję przed twą chatką:
szczęścia-m nie zaznał na szerokim świecie,
odkąd od kolan twych odbiegłem, matko!

XXIX.

Sam więc zostanę? sam już aż do końca...
Tak dobrze! dobrze! Nie potrzeba ludzi! —
mówią: szalony! — a mnie głos ich budzi
ze snu, jak gdybym czekał wschodu słońca!

Wschodu? — o, nigdy! Noc nadchodzi wieczna,
sen nieprzespany, kamienny i głuchy — — —
i sam zostanę — — w ciemność, jak w pieluchy,
śmierć mię spowije, macierz ta serdeczna!

XXX.

Śmiałem się wiele i płakałem wiele,
byłem samotny, mimo, że kochany,
a pełen życia, a na śmierć skazany,
w szczęściu tęskniący i dumny w popiele.

Dzieckiem do lutni wziąłem się i pieśni,
lecz pierwszy akord struny mi rozstroił,
a jam z palcami na zerwanych roił,
i śniąc — zapomniał, że się życie prześni...

XXXI.

Nie pragnę życia, ani śmierci wołam,
lecz proszę-ć tylko, pierś mi nastrój, Panie!
na śpiew ostatni, — potem niech się stanie
Twa wola —: harfę wyśpiewaną połam!

Roztrzaskaj harfę, ale daj jej wprzódy
pieśń w świat wyrzucić, co lodami świata
wstrząśnie i w słońce poleci skrzydlata,
wiodąc za sobą przebudzone ludy!

XXXII.

Przecz mnie ty, Panie, skazał na to życie?
przecz mi dał duszę wielką a niepłodną,
bezsilnie dziką i wciąż wrażeń głodną,
ciemności pełną a śniącą o świcie?...

Przecz mi Ty gwiazdy pokazał na niebie
i strącił w otchłań, kędy światła gasną,
i tęsknić kazał za gwiazd marą jasną,
i wiecznie padać, wznosząc się do Ciebie?...

XXXIII.

Upadam ciągle — i znowu się wznoszę,
i tak mi straszna ta krzyżowa droga,
iż zapominam, że wiedzie do Boga —
i końca błagam, i spoczynku proszę.

Upadam ciągle i tarzam się w pyle,
i wstaję znowu, pył otrząsam z czoła;
a krzyż mię ciśnie, a Bóg naprzód woła — —
więc idę naprzód, choć gnę się i chylę.

XXXIV.

Żegnaj mi, świecie! Stoję na rydwanie;
dzikie rumaki targają uprzężą, —
dłużej ich trzymać już nie jestem w stanie:
dębią się, skaczą, srebrne lejce prężą...

Więc naprzód! dalej! Żegnaj, piękna ziemio!
Pędzę szalony gdzieś w nieznaną drogę, —
błyski mnie ślepią, wiatr i gromy niemią —,
a oto przepaść — — lecz wracać nie mogę!

ŻYCIE.

1898—1903.

CYKL PIERWSZY.

1.

Pytałem duszy mojej, czem jest ludzkie życie?
A ona mi odrzekła, smutna, jako zawsze:
— »Kobieta jest to z piersią wychudłą i suchą,
obok której dzieciątko obce z głodu płacze;
pień to drzewa spróchniały, na którym zielone
szybko wiedną gałązki; morska jest to fala,
która ryby na piasek wyrzuca śmiertelny;
prąd to straszny, co w przepaść wodospadów niesie
łódki, by je roztrzaskać o głazy podwodne — — —
I ja lecę z tą falą, nie wiedząc, gdzie będzie
kres tej drodze i jaka mię otchłań pochłonie...
Wir i piana, — grzmot słychać wodospadu głuchy,
słychać ciągle — wciąż bliżej — słychać ciągle, ciągle...
coraz bliżej i bliżej... Już zamykam oczy;
nie! to jeszcze nie koniec! Wiem, że umrzeć muszę,
wiem, że pęknie łódź głazem podwodnym rozdarta,
nie wiem kiedy — i smutna jestem aż do śmierci...«

II.

Grzmij, morze! Życie, życie! — Ach! gdyby twa fala
oddać mogła to wszystko, com ja w nią porzucił —
choć połowę — choć cząstkę... Grzmij, morze za-
chłanne!
Nie powrócisz ty, falo, nigdy swego łupu,
nie powrócisz młodości strawionej tak marnie,
nie powrócisz mi serca, które lekkomyślnie,
niby perłę bezcenną, w toń rzuciłem brudną. —
Dziś gdy chciałbym mieć skarby, jestem od nędzarza
uboższy... Życie, życie! — nie wrócisz... Grzmij
morze!...

III.

O! nie jesteś ty dobre ani złe nie jesteś,
o! nie jesteś ty straszne ani też ponętne, —
jeno puste ogromnie i czcze jesteś, życie!
Trzykroć szczęśliw, kto umiał wlać ci treść — i toń twą
myślą swoją zapłodnił! Temu rodzić będziesz
bogów z piersi swej zimnej; ten w twym szumie głuchym
harf usłyszy anielskich przenajczystsze pienia;
przed tym, jako przed królem, będziesz chodzić, życie,
w krwawej gromów purpurze, w rozświtów błękitach,
w złocie zórz wieczorowych, w snów miesięcznych bieli!...
Słabych jednak pożerasz — i szumisz... i szumisz...
O! nie jesteś ty dobre ani złe nie jesteś, —
jeno puste ogromnie i czcze jesteś, życie!...

IV.

Dziwni ludzie jesteśmy! Tworzym rzeczy błahe,
wiemy o tem, a jednak wciąż wmawiamy w siebie,
że los świata zawisnął od nich... Gonim marę,
wytwór własnej swej myśli, pragnień cień nieścigły,
co jak plama od słońca do stóp nam rzucona,
idzie ciągle przed nami: stoi, jeśli staniem;
biegnie, gdy ją ścigamy. I zawsze tak blizka,
zawsze blizka ta mara, a tak nieuchwytna...
Trzeba kłamać i wmawiać w duszę swoją własną,
że jej dzieła znikome światy uszczęśliwią;
trzeba kłamać przed sobą i wierzyć, że mara
nikła cieniu naszego — to jest cel przedwieczny...
Kto uwierzy — szczęśliwy. A gdy słońce myśli
zgaśnie i cień uleci — to nas już nie będzie.

V.

Wiem, że dzień ten nadejdzie... Tak jak w Boga
wierzę
nieskończonego, który rzeszą światów władnie
a nie troszczy się o liść, co już z drzewa leci,
ani wiatru miarkuje runu jagnięcemu —
tak wiem, że dzień ten przyjdzie... I nic mnie nie
wstrzyma
wonczas, ani te bujne złotowłose łany,
co się śmieją pod słońce i życiu się cieszą,
ani zorza rumiana, która może właśnie
w tę godzinę rozplatać będzie swoje kosy...
Wiem — nie troszczę się o nic. I jedno swej duszy
radbym wszczepił hart, aby w tej poślednie chwili,
gdy jej przyjdzie na ciała swego spłonąć stosie,
nie zadrżała. Dłoń — ślepe narzędzie — posłu-
cha. — —

CYKL DRUGI.

VI.

Więc przyszłaś znowu, o, słodka godzino!
którąm ja niegdyś jak oblubienicę
przyjmował suto zastawnemi stoły:
owocem ducha i nad owoc cennem
kwitnącem kwieciem, obietnicą żywą
przyszłych dostatków! Smutny dzisiaj stoję...
Ty mnie nie pytaj o dostatki moje,
ty mnie nie pytaj o me jabłka złote,
o kwiat różowy — ty się mnie nie pytaj! —
Nie śmiałbym dzisiaj zastawiać ci darów
nie najprzedniejszych, jak czyniłem niegdyś
w zbytniej ufności. — A więc smutny stoję,
choć przyszłaś znowu, o słodka godzino!

VII.

Przedwcześnie — wiem to — a jednak na duszę
mgła mi opada... Daremnie ramiona
wytężam, darmo zrywam się i mówię,
żem jeszcze drogi nie przebył połowy
do owej wielkiej przystani — ostatniej:
mgła mi na duszę opada całunem
i tak w niej tonę bezradny... Niedawno
jeszcze... ach! po co wspominać!... Niedawno
pierś mi jak wulkan wzbierała i ognie
grały w niej, walcząc z sobą o pierwszeństwo,
który ma na świat śmignąć błyskawicą...
Przedwcześnie — wiem to — a jednak na duszę
mgła mi opada gęsta, nieprzejrzana...

VIII.

Idziecie za mną! — widzę was! — potężni,
młodzi i piękni, bogom tak podobni
i jak bogowie drwiący z tych, co padli.
Pójdźcie i przejdźcie po mnie! A nie iżbym
ja się pod nogi wasze kładł, — za dumny-m
i zbyt walczyłem długo, — lecz że pragnę
moc waszą poznać. Wy bogom podobni,
pokażcie, że jak bogowie jesteście
i że bez żalu podeptać umiecie
tych, co wam z drogi nie chcą ustępować...
Niech się nauczę cenić tych, co przejdą
po mojem ciele — i niech mam tę chwałę,
słusznie należną wszystkim protomachom,
choćby ginącym: żem nie przed gorszymi
padł i nie słabszych przed się puścił przodem...

IX.

Skarżyć się? — nigdy! — Nie będziesz ty miało
tego tryumfu, o zachłanne Życie!
iżbym ja płakał, zgniecion twem kolanem.
Wszak sam tak chciałem! — Sam walczyłem z sobą
i sam tak długo pętałem swe moce,
dzikie i bujne, rozhukane moce,
aż dnia pewnego usnęły — nieżywe.
Bez łzy nad grobem ich stoję. Nie były
snadź doskonałe, kiedym własną dłonią
zmógł je, pokonał, aby paść wraz z niemi...
Nie płaczę zmarłych i nie pytam: czemu? —
wiedząc, że niema na to odpowiedzi...
Jeno do suchych oczu dłoń podnosząc,
chciałbym ze źrenic ów piasek gorący
strząsnąć, co wżarł się pod krwawe powieki
i w mózg się sypie i w gardle mnie dławi
i pierś wypełnia, jak ziemia w grobowy
dół wsypywana, w którym serce leży...
Nie pytam: czemu? — Snadź nie doskonałe

były te moce i nie nieśmiertelne,
kiedy pomarły, nie mogąc wolności
zdobyć, gdy ręka kiełznała je moja...
Niech śpią w pokoju... Nie będziesz ty miało
tego tryumfu, o zachłanne Życie,
iżbym ja płakał! Bo wiem: albo nowy
duch wstanie w piersiach mych z potęgą nową,
nieposkromioną i jak płomię żywą,
albom ja trup już. Trupów się nie płacze...
Jeno do suchych oczu dłoń podnoszę,
aby z pod powiek piasek strząść gorący...

X.

Nie tak! o nie tak! Ja cię kocham, Życie!
— a choćbym nawet nie kochał, to skłamię;
wszakże wszystko jest kłamstwem? Silniejszy-m od ciebie,
— a choćbym nawet był słabszy, to skłamię;
wszakże wszystko jest kłamstwem! Trudno jest odnaleść
tę granicę, tę krętą i zgubioną miedzę,
która dzieli w człowieczej duszy dwa królestwa:
Prawdy i Kłamstwa. Pytałem mej Woli,
która więcej wie, niźli rozum mój i serce,
a ona ze zdumieniem rzekła: Czyż jest kłamstwo?
pokąd zasięgnę — wszystko dla mnie prawdą. —
Słucham mej woli i kocham cię, Życie,
bo kochając, ja czynię cię miłości godnem.

XI.

Wszystko dałoś mi, Życie, czegom jeno pragnął —
i nie było życzenia, którebym napróżno
w sercu swojem rozbudził. Pono jest to szczęście...
Dałoś mi szały bujne, gdym chciał być szalonym,
dałoś mi spokój cichy, gdym pragnął pokoju,
miałem usta kobiece, miałem złote wino,
miałem pieśni posłuszne i posłusznych ludzi,
świat przebiegłem i miastam widział, morza, góry, —
i nie brakło mi zdrowia, ochoty ni siły,
by z twych darów korzystać... I nie wiem, dlaczego
taką krzywdę-ś mi, Życie, zrobiło, że wszystko
dałoś, czegom zapragnął...? Snadź by mnie przekonać,
żem źle pragnął i że jest wszelakie pragnienie
samo w sobie boleścią — a spełnienie pragnień
najżywszych nieprzerwanem pasmem rozczarowań,
chociażby rzeczywistość przeszła sny najśmielsze...

JAN RICHEPIN.

STARE GWIAZDY.

PRZEKŁAD.

1896.

Słońce przez mgły i rudych wyziewów topiele
nad Paryżem wstawało, smutne, osowiałe,
tlejąc słabo, jak głownia samotna w popiele,
która członki żebraczki ogrzewa skostniałe.

Jak budzący się ze snów gorączkowych chory,
grób swój mglisty z wysiłkiem darło dłonią drżącą —
i przez ziejące w szarym całunie otwory
blade światło swe lało — starca krew stygnącą.

Ziemia w słońce patrzyła odrętwiała, niema,
jak zbudzona zaledwie ze snu kurtyzanka,
co ziewa, podsiniałe rękoma obiema
trąc oczy, które zmęczył zły sen i hulanka.

I tak słońce to stare i tak ziemia stara
w rannym brzasku złowróżbnym, rażącym ich oczy,
już konały, — a przestrzeń pusta, głucha, szara,
drżała jękiem włóczęgów tych nieba przeźroczy:

— O, pani moja, o, moja żono!
o, biedna Ziemio o zwiędłej skroni,
pamiętasz miłość naszą szaloną?
echa chwil zgasłych czy myśl twa goni?
Kiedym na jasne, czyste błękity
płaszcz swój zarzucał, płaszcz złotolity,
płynnego srebra łzami wyszyty,
który w promienne tulił cię zwoje:
widziałaś lico moje płonące, —
a błądzącego przez nieba lśniące
kochanka twego całunki wrzące
rozkoszą łono wzdymały twoje!

»Któż to mnie głosem ochrypłym woła?
czy to ty, Słońce, królu mój złoty?
Niestety! szronu dziś z mego czoła
nie zetrą twoje blade pieszczoty!
Zostaw mię w ciszy! — minęła wiosna,

i Śmierć mnie w otchłań ciągnie zazdrosna, —
jam już nie twoja żona miłosna
i tyś już nie mój kochanek młody!
Świątynia nasza, lazur promienny,
w sklep się zamienił ciężki i senny,
pod którym w martwej głuszy bezdennej
noc nas ogarnia i wieczne chłody...«

— O, Ziemio moja, słuchaj mnie przecie!
wspomnij minione szczęśliwe chwile!
Dziś mnie nie kocha nikt już na świecie,
a tyś mnie niegdyś kochała tyle!
Więc mimo starość, co mrozi łona,
ocknij się, ocknij, piękna Uśpiona!
Jeśliś nie mumją, jeśli korona
moja nie lampą zgasłą śród cieni:
nim nas Śmierć dłonią ujmie lodową,
wzbudźmy te błogie chwile na nowo,
kiedy to Ziemia była królową,
a Słońce bogiem było przestrzeni! —

»Gdyśmy o życiu nic nie wiedzieli,
tryumfatorów w świat szliśmy krokiem,
jak dzieci małe, tacy weseli,
z szczęśliwą duszą, z pogodnem okiem!
Wiosną odziani, w świateł powodzi

nie wiedzieliśmy, tak jeszcze młodzi
że czas, okrutny starzec, co rodzi,
pożera biedne dzieci swe — światy!
Bez trosk żyliśmy gniotących barki
w pięknym ogrodzie niebios, ty — szparki
motyl ze złota i z jasnej siarki,
ja — kwiat brunatny w zielone płaty«.

— O! gdyby cofnąć to losów koło,
o, gdyby zacząć nam nowe życie
i znowu młodość szczęsną, wesołą
począć o czasu nowego świcie,
ażeby góry i morskie tonie,
łany w złocistych kłosów koronie,
wietrzyki, kwietne niosące wonie,
ciepłe błękitne nieba bez końca,
nieprzeliczone twory przyrody,
świetną harmonją brzmiące w zawody —
znów opiewały związek nasz młody,
związek szczęśliwy Ziemi i Słońca! —

»Ponad gór szczyty, nad białe chmury
zamienialiśmy całunki z złota;
lecz dziś ust naszych zwiędły purpury,
już się nie złączą, — próżna tęsknota!
Oto dziś szczyty nagie i ciemne

i bezświetliste chmury nadziemne,
a zamiast śpiewów, głosy tajemne
brzmią przez mgły gęste, ciężkie i płowe;
jest to ryk Miasta, które olbrzymie,
pełne przekleństwa, spowite w dymie,
wieści dzień pracy w bluźnierczym rymie —
bo oto Człowiek podniósł już głowę!«

Wtedy zwolna na polu martwem i zaspanem
pełen siły i życia Paryż rozwarł oczy:
jakby wody szumiące, pędzone orkanem,
potok ludzki po bruku z hałasem się toczy.

Ty z rękami czarnemi znużony od wczora,
do pracy, wyrobniku! Żar w piecach się pali —
podłą krwią żelaznego nakarm więc potwora,
wkręć swe muszkuły w jego muszkuły ze stali!

Czy słyszycie, jak potwór — z haniebnych więzieni
krwią i potem utuczon — wzdyma się i krzyczy,
wyrzygując swem gardłem wulkany płomieni?
To szalony hymn pychy, którym miasto ryczy:

— Moje są nieba, ziemie i wody!
precz z wyrzutami, trwogą i bólem!
Ja, Człowiek, marny atom przyrody,
chcę być niezmiernych wszechświatów królem!
Wszystkie przeszkody po drodzę zwalę!
wszak łupu w twardej szukając skale
łono-m Natury rozwarł zuchwale;
jak ona, moja macocha, srogi,
wszystkie jej skarby wydzieram z gardła!
Jam się z nią zmierzył! — i ręka karła
dumne jej siły zmogła i starła —
i na jej karku wsparłem swe nogi!

Kazałem górze, co w strop się spiętrza,
pod dłoń mą ugiąć dumnego grzbietu —
i rąbiąc drogi, w głębie jej wnętrza
wbiłem swą wolę, jak ostrz sztyletu!
W biegu nie wstrzyma mnie nawet morze!

ja oceanom pęta nałożę —
i oto czarna flota ma porze
bałwanów grzywy zwichrzone, sine.
Piorun, co z nieba groził mej skroni,
jam niewolnikiem zrobił swej dłoni —
i oto dzisiaj przez światy goni,
niosąc myśl moją, kędy ja skinę.

Dojdę do przyczyn ostatnich nitek,
wszystko, co zgadnąć można, odgadnę;
siły Materji na swój pożytek
obrócę, światem jak pan zawładnę.
Pokonam ziemię, niebo przemierzę,
wszystkich tajemnic złamię zawierze —
i nie ośmieli się nic nieszczerze
mówić lub milczeć, gdy pytać będę!
Ja Nieskończoność bez maski zoczę;
za kresy świata moc swą roztoczę,
a w gwiazd otchłanne dążąc przeźrocze,
na wóz wichrami niesiony wsiędę!

Jeśli oś świata ma być zmieniona,
ja się Atlasa zaćmić pokuszę!
zarzucę ziemię na swe ramiona
i bez stęknięcia z posad ją ruszę!
Ja, chudy karzeł, dźwigam ciężary,

jak kran olbrzymi; grzbiet mój i bary
silniejsze, niźli machin lewary,
nie drżą pod żadnych brzemion nawałem!
Znajdę sił nowych ożywcze zdroje;
a gdy wiek jeszcze potrwają znoje,
spełnią się wszystkie zamiary moje,
wszystkie sny moje staną się ciałem!

Wszystko, co zechcę, czynić mam prawo —
a ja chcę wszystko! W tyglu rozłożę
Byty i Rzeczy, myślą ciekawą
szukając, co z nich przydać się może.
Przyroda umrze? to mnie nie trwoży!
Gdy ta starucha w grób się położy,
ludzkość dość silna — nowy świat stworzy,
nad stare bogi podnosząc głowę!
Niech wszystko ginie! W mej mocy leży
ciepła i światła świat stworzyć świeży;
— wola ma nowe nieba rozszerzy
i gwiazdy na nich rozpali nowe!

Do pracy zatem! precz ze spokojem!
drzyjmy zasłony tajne na szmaty!
Choć padną jedni, drudzy przebojem
pójdą z pochodnią zdobywać światy.
Mózg mój, rachunki snując zawiłe,

równa już ziemską zmarszczoną bryłę,
nową jej postać dając i siłę...
A gdy już wolą wszechświat oprzędę
i mętny chaos myślą rozdzielę,
nurtując tajne jego topiele:
będzie w Przyrody wielkim kościele
Bóg tylko jeden — i ja nim będę!

Noc zapadła. Murzynka o czarnem wymieniu
wlała w otchłań powietrzną gęste mleko cieniu
i ciężkim pocałunkiem zawarła widnokrąg.
Pod spokojnem już niebem martwa głusza wokrąg:
nie słychać krzyku Słońca ani płaczu Ziemi.
Tylko Człowiek, nadęty pychą, żelaznemi
łańcuchami swej dumy do pracy przykuty,
w cieniach nocy z łoskotem wiedzie trud swój luty,
usiłując dzień nowy stworzyć w dzikiej pysze
z drżących, wątłych płomyków, które wiatr kołysze.
A wtem gwiazdą zakwitły czarne nieb zagony;
dwie już błyszczą, trzy, dziesięć, tysiące, miljony —:
szmaragdy i rubiny, topazy bajeczne,
pył djamentów rozsuty w mgławic drogi mleczne,
których każda cząsteczka — to wszechświat osobny,
w słońca swoje, planety i księżyce zdobny.
I oto nieskończoność fizyczną przenika
jakaś dziwna, wpół-cicha, straszliwa muzyka,
przy której głos Człowieka pełen klątw i złości
zda się jeno dalekiem echem ech nicości.

To Gwiazd chóry śpiewały tą melodją wieczną,
że Materja jedyną istnością konieczną,
zawsze młoda i stara, bez początku, końca —
zresztą wszystko przemija: bogi, czas i słońca.

GWIAZDY:

Człowieku, ty potworku, i cóż ty tam mruczysz,
tak skulony przy słońcu, jak kot przy ognisku?
sądzisz, że przechwałkami trwogi nas nauczysz?
że twój oddech błękitom odejmie połysku?

Ponieważ mózg twój cyfry kombinować umie,
chcesz, by wszechświat czcił cały na kolanach ciebie?
Szumem pustych słów brzmiący, w swej bezbrzeżnej dumie
ty urągać zamyślasz nam, gwiazdom na niebie?

Grzbiet i chude ramiona wytężasz, nieboże,
sądząc, że świat ten, w uścisk objąwszy, posiędziesz?
Ty, coś ledwie robakiem marnym w ziemskiej korze,
mówisz, że my pomrzemy, a ty — ty żyć będziesz!

Lecz ty raczysz, litością zwycięzcy przejęty,
jeszcze nadzieją słodzić nam ten los surowy:

obiecujesz Materji obumarłej szczęty
w palcach swoich ożywić i świat stworzyć nowy?

Hej! choć z zasłon odarłeś wszechświat tajemniczy
i w błękity wyciągasz chciwych dłoni kleszcze,
Gwiazdy śmieją się z twojej wiedzy i zdobyczy:
mimo wszystko, coś poznał, ty nic nie wiesz jeszcze!

Ty się łudzisz, że błyskiem swojego spojrzenia
rozprószyłeś mrok gęsty wszechtajemnic cieśni:
gdybyś bodaj na chwilę wyjść mógł z swego cienia,
zobaczyłbyś ty tajnie, jakich mózg twój nie śni.

Ni ty, ni my, ni żadna moc zmienić nie zdoła
tego, co jest — ni dobre, ni złe, lecz bezwiedne.
Wszystko pędzi, gdzie ślepy Przypadek zawoła, —
jednodniówko, atomie biedny, ty — Nic biedne!

Przyroda w wiecznych przemian żyjąca powodzi
bez spoczynku podąża w tę fatalną drogę,
kędy przyczyn konieczność stałe skutki rodzi,
a z kolebki się prosto na grób stawia nogę.

Każda rzecz się na chwilę zjawia, życiem wzbiera,
a gdy los się odmieni, jak kwiat ścięty więdnie;

wszystko na śmierć się rodzi, by odżyć — umiera:
nie powstaje na świecie żadna rzecz bezwzględnie.

Zaprawdę! ziemia także zastygnie z kolei —
ją też, jak każde ciało, kres niechybny czeka:
jej ognisko wewnętrzne w śnieżnej lat zawiei
to wybłyska, to znów się popiołem powleka.

Oto każdy dzień siły jej zużywa, niszczy;
wkrótce straci swe lasy, powietrze i wody
i będzie jako księżyc, pełna martwych zgliszczy,
szkielet gwiazdy, trup siny w cmentarzu przyrody.

Już nie usłyszy wtedy życiowego tętna,
nie zobaczy nieb skrytych w ciemności powłoce,
pędząc w pustce samotna, wystygła i smętna
przez otchłanie milczenia i wieczyste noce.

Słońce wnet też zużyje swe samotne żary
i poblednie i pójdzie — szkielet martwy, zimny,
bezpromienne, jak Ziemia, przez głuche obszary,
niby węgiel w ognisku wypalony, dymny.

Może lecąc, jak błędny planeta w przestworze,
gdzieś około innego słońca krąg zatoczy,

mały światek wasz z sobą pociągając może
ku gwieździe, której wasze nie zobaczą oczy!

Wreszcie cały świat zrzuci formę już znoszoną
i rozpłynie się w przestrzeń, która wszystko studzi,
deszczem pyłów na ciemne dżdżąc Materji łono,
kędy Chaos uśpiony moc Przypadku budzi.

Jeśli Gwiazdy więc cudne i nieskazitelne,
takie trwałe, że oko twe ma je za wieczne,
te olbrzymy niebieskie, nie są nieśmiertelne
ni przed Czasu niszczącym zębem są bezpieczne:

jakże możesz ty innych spodziewać się losów,
ty, którego dzień gaśnie wraz z zachodem słońca?
czemu łeb buntowniczy wznosisz do niebiosów,
chcąc uniknąć sam jeden wszystkich rzeczy końca?

Więcej znikomy, nie chciej dumą być przed niemi,
nie sądź, że świat się cały w twojej dłoni zmieści,
przeto iż się za króla masz swej matki Ziemi,
która ciebie, jak swego Benjamina, pieści!

Pomyśl, że niczem jesteś wobec niej, fantomie,
i że ona mniej jeszcze wobec nas jest przecie!

i że Wszechbyt nie zamknie się w jednym atomie
i że niema uchwytnych absolutów w świecie!

Prędzej przestrzeń się skończy, w biegu czas ustanie,
nim byt jeden pod władzę swą Ogół zagarnie —,
a czas wieczny, bez granic przestrzeni otchłanie!
więc nie skazuj się pychą na próżne męczarnie!

Nic nie zmienisz i zginiesz tak, jak zginą słońca!
darmo chcesz się mocować z przeznaczeniem srogiem:
jedna tylko Materja istnieje bez końca,
a Wszechświat duszy nie ma i nikt nie jest Bogiem!

TREŚĆ TOMU DRUGIEGO.

[illegible]

Str.

ŻYCIE.

ERRATA

Str. 48	wiersz 14	zamiast: *mrzonką*	ma być: m ż o n k ą
Str. 50	wiersz ostatni	zamiast: *wszystkiem*	ma być: w s z y t k i e m
Str. 65	wiersz 13	zamiast: *piękną*	ma być: p i ę k n a
Str. 128	wiersz 12	zamiast: *ja*	ma być: j a k
Str. 155	wiersz 3	zamiast: *w nich*	ma być: z n i c h
Str. 157	wiersz 3	zamiast: *duchen*	ma być: d u c h e m
Str. 190	wiersz 7	zamiast: *tan*	ma być: t e n

